AS



Nr. 33
4 SIERPNIA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

ŚMIECHY PLAŻY

(patrz str. [illegible])



PLOTKI WERSALSKIE

SZKIC

HENRYK POTOCKI

Japończycy nazywają swego władcę synem słońca; Francuzi umieścili Ludwika XIV na jeszcze wyższym szczeblu w hierarchji monarchów, nazwali go bowiem nie synem, a samem słońcem — Le Roi Soleil. Nie znaczy to bynajmniej, by poddani króla-słońce wierzyli w równym stopniu w jego nadziemskie pochodzenie, jak poddani mikada, w każdym razie jednak mieli dla niego kult specjalny.

W Japonji robi się wszystko, aby podtrzymać przeświadczenie o boskości pochodzenia władcy. Przeciętny obywatel o skośnych oczach i żółtem obliczu nie ma prawa podnieść wzroku na świętą postać syna słońca, a już marzyć nie może o tem, aby mógł przemówić do niego i rozmawiać z nim, jak z każdym innym śmiertelnikiem.

Życie mikada jest zamknięte, otoczone nimbem tajemniczości; dostęp do niego jest uniemożliwiony; od setek pokoleń oddaje mu się urzędowo cześć boską, nic więc dziwnego, że przekonanie o jego boskości dziś jeszcze jest silnie rozpowszechnione wśród najszerszych warstw jego poddanych.

We Francji Ludwika XIV nie widzimy nic z tej tajemniczości. Tam każda czynność króla, nawet najbardziej osobista, była czynnością oficjalną, przy której musieli asystować przeznaczeni do tego urzędnicy, a mogli — uprzywilejowani poddani. Król-słońce nie miał właściwie życia prywatnego, gdyż wszystko, co dotyczyło jego osoby, było albo z tradycji, albo przez niego samego uregulowane ceremonjałem.

Można było — oczywiście o ile należało się do uprzywilejowanej klasy szlacheckiej — przekonać się naocznie, jak król wygląda po źle przespanej nocy, co je na śniadanie, jakie i jak często przyjmuje lekarstwa, jakiego koloru i jak wkłada pończochy. Można było policzyć, ile razy raczy przeżuwać pokarm, ile wypija wina na obiad, jak długo się modli, ile razy zatnie się przy goleniu. W dniu ślubu można było asystować przy ceremonji układania się do łoża królewskich małżonków i widzieć następnego dnia rano, jak wyglądają po nocy poślubnej. Nic nie było tajemnicą.

A mimo to wśród poddanych utrzymywało się przekonanie o nadczłowieczeństwie Ludwika XIV. Nie był to kult w rodzaju japońskiego, ale przeświadczenie o odrębności monarchy, przeświadczenie, że był on ulepiony z innej, lepszej gliny. Można zaryzykować twierdzenie, że w pojęciach o nim było coś z pojęć o mitycznych bohaterach Hellady, Perseuszu, czy Herkulesie: nie bóg wprawdzie, ale więcej niż człowiek...

Nie najmniejszą rolę w wytworzeniu się tego rodzaju pojęć odegrała wspomniana już oficjalność, która podnosiła każdą, najmniejszą nawet czynność monarchy do granic aktu państwowego.

Naprzykład poranna tualeta króla nie była jego sprawą czysto osobistą, lecz czynnością oficjalną, przy której asystowali specjalni urzędnicy dworscy i ci z poddanych, którym z urodzenia, lub nadania przysługiwał ten przywilej.

Pierwszemi osobami, zjawiającemi się każdego dnia o ósmej przed królewskiem obliczem były: pierwszy służący, który budził króla, oraz pierwszy medyk i pierwszy chirurg, którzy badali go i zmieniali mu koszulę. Kwadrans potem zjawiał się wielki szambelan dworu i ci, którzy posiadali przywilej „des grandes entrées". Szambelan otwierał zasłony łoża, podawał królowi wodę święconą i książkę do nabożeństwa. Na krótki czas modlitwy wszyscy obecni wychodzili do gabinetu. Wracali po chwili, król wstawał i przyjmował z rąk szambelana szlafrok. W tym momencie wchodzili dworzanie, urzędnicy i tłumy dworaków. — Król wkładał ubranie, pończochy i buciki, co drugi dzień sam się golił przed lusterkiem, trzymanem przez kogoś z otoczenia i rozmawiał przez cały czas z obecnymi, którzy szczelnie wypełniali pokój. Po skończonej tualecie klękał przy łóżku i modlił się; wraz z nim klękali wszyscy duchowni. Następnie przechodził do gabinetu, dokąd udawali się za nim wszyscy obecni. I tak cały dzień...

Prawo do asystowania we wszystkich prawie czynnościach monarchy, nie uprawniało bynajmniej do wszczynania z nim rozmowy. Na to były przeznaczone specjalne, aż do śmieszności ściśle określone momenty. Naprzykład wolno było podejść do króla i przedstawić mu bezpośrednio swoją sprawę w chwili, gdy udawał się na codzienny spacer — i znajdował się pomiędzy ostatnim stopniem schodów a karocą.

Król, postawiony w oczach poddanych na tak wysokim piedestale, był dla nich niezmiernie łaskawy. Oczywiście przez słowo „poddany" rozumiał on tylko szlachtę, duchowieństwo i — kobiety. Inne stany istniały dla niego tylko o tyle, że dostarczały mu pieniędzy, wojska i zdolnych ministrów, nie miały jednak prawa do jego monarszej łaskawości. Tę rezerwował dla tych, którzy wprawdzie podatków nie płacili, ale będąc wysoko urodzonymi, mieli prawo o nią zabiegać i — potrzeba im oddać sprawiedliwość — umieli z niej korzystać.

Nie wszyscy jednak i w tej klasie byli równi w oczach władcy. Wola jego i urodzenie podzieliła ich na klasy, których różnice, rygorystycznie przestrzegane, widoczne były już chociażby ze sposobu, w jaki król witał poszczególnych ich przedstawicieli. Należy podkreślić, że Ludwik XIV był uprzedzająco grzeczny i nie zdarzyło się, aby nie ukłonił się któremukolwiek ze swych poddanych. Z reguły kłaniał się wszystkim kobietom, z tą tylko różnicą, że przed temi, o których wiedział, że są pokojówkami, uchylał tylko kapelusza, przed damami zaś zdejmował go całkowicie i trzymał wysoko w powietrzu. Rozmawiał z damami zawsze z odkrytą głową. Książąt krwi pozdrawiał tak, jak wysoko urodzone damy, ludzi utytułowanych tylko tak, jak pokojówki, to jest lekko uchylając kapelusza. Witając innych poddanych, dotykał tylko kapelusza.

Nie były to oczywiście jedyne dowody łaski, jakie otrzymywali od swego słonecznego władcy. W największej ilości wypadków łaska ta była łatwo przeliczana na pieniądze, gdyż Ludwik XIV płacił za wszystko, jeżeli już nie bieżącą gotówką, to urzędami i dobrami, które były gotówką w permanencji. Paniom, gdy był w dobrym humorze, urządzał loterje, różniące się tem od dzisiejszych, że losy nic nie kosztowały i każdy z nich wygrywał. W ten sposób obdarowywał damy pieniędzmi, strojami i klejnotami.

Łaskawość jego wyrażała się nieraz również i w inny sposób. Jedna z dam dowiedziała się, że mąż jej, wyższy wojskowy, po kilkumiesięcznej nieobecności miał wrócić do Paryża. Tymczasem znajdowała się ona w stanie, który — jeżeli nie chciałoby się podawać w wątpliwość jej wierności małżeńskiej — mógł być usprawiedliwiony jedynie obecnością jej ślubnego małżonka. Biedna kobieta nie widziała innego wyjścia z tej kłopotliwej sytuacji, jak tylko wyznać wszystko królowi i prosić go o zatrzymanie męża w armji jeszcze przez parę miesięcy, co pozwoliłoby jej na ukrycie błędu. Ludwik XIV, czuły na łzy niewieście, przychylił się do jej prośby, nie omieszkał jednak poradzić, aby na przyszłość bardziej uważała i lepiej się prowadziła.

Myliłby się ten, kto sądziłby, że obcowanie z królem-słońce sprowadzało nieodmiennie łaski i dobrodziejstwa. Że mogło być inaczej, przekonał się boleśnie jeden z najbogatszych ludzi ówczesnego świata, bankier Samuel Bernard. Był to człowiek, który posiadając nieprzebrane zasoby pieniężne ratował w chwilowym niedostatku nie licząca się z groszem arystokrację. Jako nieszlachcic, nie mógł być przyjmowany w salonach, ponieważ jednak wszyscy wielcy panowie potrzebowali go i najczęściej byli jego dłużnikami, więc w tajemnicy przyjmowali go i świadczyli mu tysiące uprzejmości. Nie można się dziwić Samuelowi Bernard, że wzamian za swoje pieniądze, najczęściej bardzo nieregularnie zwracane, domagał się tych uprzejmości, a nawet zaczął uważać, że mu się słusznie należą.

Ludwik XIV, podobnie jak jego lekkomyślni poddani, często znajdował się w poważnych tarapatach finansowych. Nie było w tem zresztą nic dziwnego, gdyż z własnej szkatuły musiał pokrywać nie tylko wydatki swej osoby i dworu — a wiemy, że lubił i umiał wydawać — ale również wszystkie wydatki państwowe, co razem przewyższało zwykle wpływy z podatków i innych źródeł dochodów państwa. W żadnej może dziedzinie powiedzenie „państwo to ja" nie było tak prawdziwe, jak w dziedzinie finansów. Kiedy Ludwik XIV nie miał pieniędzy, żołnierze nie otrzymywali żołdu, a dworacy — prezentów i zabaw. W 1710 r. wnuk jego, ks. de Berry otrzymał z okazji ślubu tylko 900 funtów,

Dokończenie na str. 12-tej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

Numer 33 **Niedziela, 14 sierpnia 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 33-GO:



Fot. inż. Władysław Bugayski

Gdy wiatry strącają z drzew na nizinach pierwsze pożółkłe w skwarze lata liście, w górach żniwa dobiegają końca. Łany zbóż, które jeszcze do niedawna znaczyły złotem na stokach wzgórz i w dolinach drogi trudu i starań o chleb codzienny mieszkańców Podhala — dziś ustąpiły miejsca ścierniskom, na których rozłożyły się kopice, drogowskazy zbliżającej się już jesieni. Rankiem i wieczorem snują się między niemi mleczne smugi mgieł, pierwsze zwiastuny królewny Śnieżki, budzącej się powoli ze snu lata w granitowym zamczysku, którego strzegą baszty niebotycznych Tatr.



Reims ODRODZONE

Cały świat kulturalny wstrząsnęła do głębi tragedja katedry w Reims, której bombardowanie bez ważnych militarnych powodów rozpoczęli Niemcy 18 września 1914 r., a skończyli, niemal w dniu zawieszenia broni. Najsmutniejszym był dzień 28 marca 1918 r., kiedy świątynia ugodzona 245 pociskami rozsypała się niemal w gruzy, zabijając odłamkami marmurów rannych jeńców niemieckich, pomieszczonych w tej świątyni, używanej przez dowództwo wojsk francuskich, jako polowy lazaret.

Nie pomogły protesty ministra spr. zagr. Delcasse'a, nie pomogła interwencja papieża Benedykta XV u cesarza Wilhelma! Wojna dokonała okrutnego zniszczenia arcydzieła średniowiecznej sztuki francuskiej, które uratowali dziś znowu dla potomnych, znakomici artyści i architekci, z Henrykiem Deneux'em na czele, oraz inżynierami arch. Ch. Genuys, M. Rattier i Pierre Paquet. Natychmiast po ukończeniu wojny zabrano się do odnowy świątyni i już dnia 25. XII. 1919 r. w bocznej nawie kardynał Lucon odprawił pierwsze nabożeństwo.

Szczęśliwi Francuzi znaleźli przyjaciela w osobie Johna D. Rockefellera, króla nafty, który zachwycony tem arcydziełem średniowiecznego budownictwa, ofiarował na cele odnowy świątyni 15 miljonów franków, podczas gdy równocześnie, syn jego, ze swej szkatuły dał 5 miljonów dolarów na restaurację wersalskiego pałacu króla słońca!

Dnia 26 maja 1938 r. odbyła się uroczystość oddania kluczy katedralnych kardynałowi Suchardowi, następcy bohaterskiego strażnika katedry kard. Lucona.

Dzieło odnowienia świątyni przynosi wielki zaszczyt Francji, która będąc ogniskiem



Na lewo: Oto jak czcigodna katedra wyglądała po zbombardowaniu przez Niemców, w r. 1917. („Illustration").

nowoczesnej sztuki, otacza blaskiem chwały i pietyzmem również arcydzieła dawnych epok.

Katedra w Reims jest obok świątyń, Chartres, Amiens, Bourges i „Notre Dame" w Paryżu jednem z najpiękniejszych arcydzieł sztuki średniowiecza. Walory architektoniczne świątyni dorównują jej dumnym wspomnieniom historycznym.

Architektura, ozdoby rzeźbiarskie katedry są szczytowym wyrazem anonimowej sztuki gotyku, kiedy, każdy kamień położony przy budowie był modlitwą rzemieślnika i artysty!

W dziele tem potęga i wdzięk wypowiada się najharmonijniej, zarówno w konstrukcji wnętrza, jak i w doskonałości i bogactwie rzeźb figuralnych i ornamentalnych.

Widok fasady świątyni podzielony trzema portalami i połączoną górą królewską galerją, jest oszałamiający. Wnętrze harmonizuje z widokiem fasady i wypowiada w najdoskonalszej formie wyrażoną, strzelistą modlitwę człowieka ku niebu. W dziele tem niema nic sztucznego i kłamliwego.

Rzeźba wtapia się w konstrukcję architektoniczną, zespalając się z nią w cudowną pełną uduchowienia jedność.

Na głównym portalu emblematy królewskie świadczą wymownie o przeznaczeniu koronacyjnem świątyni królów francuskich, których postacie w liczbie 56-ciu zdobią galerję. Z północnej strony przedstawiciele dynastji Capetów, z południowej, dynastji Karolingów, w centrum królewskiej galerji przedstawiono najważniejsze zdarzenie z historji Francji, tj. przyjęcie chrztu króla Clodwiga z rąk św. Remigjusza oraz figury arcybiskupów Francji, którzy dokonywali sakry biskupiej.

Katedra w Reims jest tworzoną w kamieniu historją Francji, rozpoczynającą się chrztem króla Clodwiga, który w r. 496 po zwycięstwie nad Alemanami z 3.000 rycerstwa przyjął wiarę chrześcijańską.

Reims, to dawne Durocortum, zwane „civitas remorum" leżało w rzymskiej prowincji „Belgica secunda". W epoce dynastji Merowingów powstaje pierwsza katedra, istniejąca 400 lat, Karolingowie w IX wieku, budują katedrę pod rządami arcybiskupów Ebbona i Hincmara.

Z tej epoki pochodzi figura Madonny i ornamenty nad portalem północnym, zwanym rzymskim. Katedra Merowingów spaliła się w r. 1210, poczem już w 1211 r. arcybiskup Aubry de Humbert i architekt Jean d'Orbais rozpoczęli dzieło budowy świątyni, prowadząc je bez przerwy do końca XIII w.

Ta szczęśliwa okoliczność szybkiej rozbudowy stworzyła jedność stylu epoki tak rzadko spotykaną w innych katedrach, których budowa ciągnęła się przez kilka wieków, jak np. katedry Notre Dame w Paryżu, rozpoczętej w 1163 r., a skończonej w XIV wieku. Świętynia reimska, za wyjątkiem górnej partji fasady zachodniej, od wysokości wielkiej rozety, skończoną była z wieżami już w XIV wieku.

Katedra w Reims była świadkiem koronacji niemal wszystkich królów francuskich, za wyjątkiem Henryka IV, koronowanego w Chartres, Ludwika XVII i Ludwika XVIII. Ludwik VII ułożył ceremonjał sakry królewskiej, do której używano miecza i korony Charlemagne'a i historycznej ampuły.

W Reims odniosła w r. 1429 swój triumf i tam poniosła śmierć męczeńską, Joanna d'Arc.

W dniach koronacji królewskiej wnętrze świątyni zmieniało się na salę widowiskową z kolumnami i lożami, stylizowaną monumentalnie w duchu epoki. Splendoru i świetności dodawały obficie używane do dekoracji świątyni wspaniałe gobeliny średniowieczne.

W okresie rewolucji francuskiej zniszczono skarbiec katedralny, a w nim historyczną romańską ampułę, którą udało się w XIX wieku zrekonstruować.

Przy odnawianiu świątyni zastosowano najnowsze środki techniki budowlanej, zastępując drewniane wiązania dachu żelazo-betonem. Dach katedry przykryto srebrzonym ołowiem, używanym w epoce średniowiecza. Z wszystkich części świątyni najmniej ucierpiał główny portal, przysłonięty w czasie wojny workami piasku, które jednak nie okazały się dostateczną osłoną pokrytych niemi figur, gdyż kilka z nich skruszyły eksplozje granatów niemieckich.

W latach wojny miałem sposobność oglądać dzieło zniszczenia katedry i opłakiwać zdawało się bezpowrotną stratę dla ludzkości tego arcydzieła, uratowanego jednak dziś genjalnością francuskich architektów i rzeźbiarzy i ofiarnością szlachetnego amerykańskiego miljardera. Francja i ludzkość odzyskała spowrotem swój klejnot sztuki średniowiecza.

M. Dienstl Dąbrowa.



Na prawo: W katedrze w Reims odbyła się w r. 1825 uroczysta koronacja króla Karola X. (według akwareli Chasselata, „Illustration".)



Na lewo: Podczas odbudowywania katedry wzniesiono szkielet dachu z żelazobetonu. („Illustration").

U KOLEBKI DUMNEGO RODU

Jakie trzydzieści lat temu żył w swej posiadłości Seaiyham, niejaki kapitan John Edwardes, starszy pan, który nie wiele mając do roboty pielęgnował wzorem wielu Anglików bardzo ulubioną i za bardzo gentlemańskie zajęcie uważaną hodowlę — a co za tem idzie handel — psów rasowych. Panu Edwardesowi nie wystarczały jednak rasy hodowane w hrabstwie Pembroke, w którem się znajdowała jego posiadłość: Specjalności lokalne, mało znane poza granicami księstwa Walji, jak na przykład „Welsh springer", pies bardzo podobny do spaniela, tylko nieco większy, „Welsh Corgis", podobne nieco do foxterrierów i „Welsh



„Sylwja", rasowa suczka gatunku Sealyham, własność miss Benson.



W poczuciu własnej ważności „Colette" przyjmuje poważny wyraz „twarzy". — (Własność autora).

terrier", rodzaj małego Airedale'a, lecz czarnego z bronzowemi plamami. Nasz kapitan miał aspiracje większe: chciał wynaleźć nową rasę psów. Może kto powie, to nie jest tak znów trudne, wystarczy skrzyżować dwie rasy i powstaje — trzecia? Nie, wtedy powstanie kundys!

I panu Edwardesowi rodziły się kundysy, całe pokolenia kundysów: ale jako zapalony amator i pedantyczny hodowca nie dał za wygraną: mieszał, krzyżował i „alembikował" tak długo, aż otrzymał rezultat, który już miał własne cechy, w którym cechy poprzednich ras tak się już zmieszały, że ich nie można było zanalizować. Dwadzieścia osiem lat temu wystąpił kapitan Edwardes na jednej z wystaw lokalnych hrabstwa Pembroke ze „swoją" rasą, rasą nową i charakterystyczną, którą nazwał według swej posiadłości „Sealyham-terrier".

Rasa ta bardzo się podobała i wnet się rozpowszechniła w Anglji, lecz jakoś długo na kontynent dostać się nie mogła. Jak większa część angielskich terrierów, była to hodowla psów użytkowych, przeznaczonych do tępienia szkodników, do polowań na lisy, na które, jak wiadomo, angielski gentleman nie strzela, na borsuki itp. Na kontynencie takich psów nie potrzeba, bo i sposoby polowania są inne, i inne są rasy psów do tego używane. Więc na kontynent dostają się te rasy dopiero wówczas, gdy je moda przerobi z czysto użytkowych na pieski domowe, podlegające już innym prawom.

I Sealyhamy późno przyszły na kontynent: po wielkiej modzie na ich kuzynów, ostrowłosych foxterrierów, poczęli niektórzy amatorzy sprowadzać je z Anglji, zwłaszcza, kiedy pojawiły się kilka lat temu fotografje ówczesnego księcia Walji z takim pieskiem, jego ulubieńcem. W Polsce mało ich jeszcze: w Warszawie jest parę, w Krakowie też, a między nimi bardzo ładny reproduktor, swego czasu importowany z Anglji.

Na pierwszy rzut oka wyglądają jak foxterriery ostrowłose z krótkiemi nóżkami. Przy bliższem poznaniu widzi się jednak znaczne różnice: większe uszy, większe i szersze nieco głowy, krótkie, bardzo silne łapy, z bardzo silnemi pazurami, korpus też nieco szerszy. Włosy śnieżno białe, plamy jasno-bronzowe lub popielate na głowie, powinny być trymowane (skubane), tak, jak



A oto mąż „Coletty" — „Buster", piękny okaz Sealyhama (własność autora).

i włosy innych terrierów. Niezmiernie miły charakter, spokojniejszy nieco od czasem bardzo awanturniczych foxterrierów, i są ogromnie przywiązane do swego pana. Spadek po ich praojcach, używanych do celów myśliwskich pozostawił im jednak wielką czujność i dużą chęć do polowania na myszy, szczury i inne szkodniki. I jeszcze jeden szczegół: kapitan Edwardes zabrał ze sobą do grobu „receptę", z jakich skrzyżowań stworzył nową rasę, i nikomu nie udało się ten eksperyment powtórzyć.

Stanisław Reychan.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



W pierwszym rzędzie znaczek jugosłowiański między dwoma francuskiemi, w rzędzie drugim (od lewej) dwa znaczki czechosłowackie, dwa niemieckie i norweski, w trzecim od dołu — znaczek bułgarski pomiędzy dwoma jugosłowiańskiemi.

Jak spieniężyć zbiór? — oto pytanie, które najczęściej zadają nam filateliści. Zwykle też proszą Czytelnicy o odpowiedź listowną, ale przecież nie możemy za każdym razem wypisywać długiej epistoły, zwłaszcza, że informacje są częstokroć niedokładne i... naiwne.

Otóż problem zamienienia zbioru na płynną gotówkę nie daje zwykle spać spadkiercom mniej lub więcej poważnych filatelistów. Dziedzice niestety nie kontynuują pracy swych poprzedników! Tak więc liczne nawet kolekcje idą w rozsypkę i nowe pokolenie może nabyć niedostępne przedtem unikaty.

Zbieracz sam zwykle przecenia swoją kolekcję i trudniej go wyprowadzić z błędu, aniżeli osobę, która tylko przypadkiem stała się właścicielką cennych znaczków. Ten, kto sam mozolił się często przez długie lata chce koniecznie spieniężyć własną pracę i trud a nie rozumie tego, że dla nabywcy mają wartość tylko i wyłącznie pojedyńcze egzemplarze, a ułożenie zbioru, opisanie czy też cena, którą musiano za znaczki płacić nie mają żadnego, ale to absolutnie żadnego znaczenia. Inaczej przedstawia się oczywiście sprawa przy zbiorach odznaczonych już na wystawach, bo wtedy już taki objekt, o ile nie ma być rozdzielony, zapewnia stałe sukcesy temu, kto go nadal może rozszerzać. Skoro jednak ilość zbiorów odznaczonych w Polsce jest narazie znikoma i objekty takie mają tak dla kupującego, jak i dla sprzedającego znaczne „praetium affectionis", nie można ich w tem miejscu podawać za przykład.

Znaczek ma taką wartość — jaka ustaliła się w stosunkach handlowych w Polsce, a chyba nie potrzeba raz jeszcze powtarzać, że 1 marka Michla to tylko 40—35 groszy, jeśli się chce znaczek kupić w sklepie, 20—30 groszy, jeśli się chce znaczek nabyć prywatnie, a 15—20 groszy, o ile się zamierza sprzedać zbiór jako całość.

Oczywiście najłatwiej pójść do, o ile możności jaknajwiększego sklepu i zaofiarować swój zbiór, ale wtedy można dostać napewno bardzo niewiele. Przy sprzedaży ilość odgrywa bardzo małą rolę, bo nabywcy rozchodzi się tylko o znaczki notowane powy-

że 1 mk. Michla. Nadzwyczajnie ważną rzeczą jest poprzednie wycenienie zbioru, a chociaż nigdy kupujący nie będzie wierzył w podaną cyfrę, bo zwykle obejmuje ona też znaczki uszkodzone, ale niemniej jest to do pewnego stopnia liczba orjentacyjna. Ważna też jest suma, którą dany zbieracz wydał w ciągu swej filatelistycznej karjery, bo jeśli zbiór obejmuje tylko egzemplarze uzyskane drogą korespondencji, to znaczy, że są one naogół pospolite i trudno będzie rozsprzedać duplikaty. Jeśli ktoś zna się na znaczkach, to nie sprawi mu trudności wycenienie znaczków lepszych, a zwłaszcza przy pisemnych ofertach powinny być wyszczególnione sztuki notowane ponad 100 mk. Ile należy żądać np. za zbiór o cenie 1500 m/kat? Uwzględniając już to, że pow. suma nie obejmuje t. zw. śmieci, a conajmniej 30% znaczków będzie przez bardzo długi czas leżało odłogiem w danej firmie, nie można się więc spodziewać zainkasowania większej kwoty, jak 180 zł. Tak więc niestety rozważanie to musi być niejako zimnym tuszem dla tych, którzy uważają, że dzięki filatelistyce podwoją swe kapitały. Można jednak zaraz podać wiele kontr-argumentów, bo np. nabywca serji gdańskiej „W. H. W.“ ex 1934 za 45 groszy — uzyskałby dziś mimo tak fatalnej relacji aż 8,40 zł. (!!!).

Dalsze rozważania na temat prywatnego spieniężenia zbiorów zamieścimy w najbliższym czasie i prosimy ew. innych filatelistów o wyrażenie swych uwag.

Nowy sezon filatelistyczny rozpoczyna się zawsze z chwilą ukazania się katalogów antydatowanych — a więc już za kilkanaście dni będziemy się emocjonować cenami notowanemi przez Michla, Senfa, Yverta czy Froedego „1939“.

Narazie jednak zamieszczamy cały szereg nowości, które już były zarejestrowane przez dodatki, ale zapewne nie są jeszcze powszechnie znane. Jugosławja emitowała dwie serje dobroczynne: dla dzieci 0,5; 1; 1,5 i 2 dinary i t. zw. aeroklub 1; 1.5; 2 i 3 din. Dopłaty wynoszą przy pierwszej 100% nominale, przy drugiej serji 0,5; 1; 1 wzgl. 1,5 din. Format 24x29 mm, lub 29x24, wzgl. lotnicze 27x38. Doskonale spełnia swe zadanie propagandowo-turystyczny znaczek Norwegji z Przylądkiem Północnym. Format jest zmniejszony w stosunku do edycji z r. 1930 30,5x24 mm, dopłaty po 25 öre do 20 i 30 ö.

Ze serji gospodarczej Bułgarji mamy przed sobą nowy znaczek za 14 l. z liśćmi tytoniu w kolorach czerwono-brązowym i brązowym, Czechy wydały dwie drobne wartości po 50 hal. (zielone) z widokami Koszyc i Pilzna, Francja zademonstrowała znowu śliczny znaczek ku uczczeniu La Fontaine'a (zielony) oraz dobroczynny za 65+35 c. (niebieski) z widokiem katedry w Reims, a wartość za 1,75 fr. z okazji wizyty króla Jerzego VI w Paryżu zobaczymy w oryginale za tydzień.

Prawdopodobnie już co roku ukazywać się będzie znaczek w dniu niemieckiego „derby“. Pod względem wykonania „Braunes Band“ 1938. jest wspaniałe i na szczęście obyło się tym razem bez bloku, ale zato dopłata 1.08 Rm do 42 fen. jest horendalnie wysoka. Kogo z młodszych filatelistów stać na wydatek 2 zł., a niema nadziei, aby mogła tu nastąpić jakakolwiek zniżka. Kolor znaczka jest oczywiście brązowy.

W. H.

ODPOWIEDZI REDAKCJI. WP. X. Z. Toruń. W drodze wyjątku przesłaliśmy listowną odpowiedź.

ARTYŚCI • NA • CENZUROWANEM

Julja Kraszewska

Jednem z bardzo obecnie popularnych, a jednocześnie nie zupełnie rozumianych słów, jest „sex-appeal". Gdyby zapytano mnie o definicję tego obcego wyrazu, głowiłbym się co niemiara. Z opresji wybrnąłbym tylko jednym sposobem — wymieniając jakiś przykład sex-appeal'u. Tu powiedziałbym bez wahania: Kobietą o uwodzicielskim sex-appealu, jest artystka operetki warszawskiej — Julja Kraszewska.

Sex-appeal Julji Kraszewskiej niema nic z owego legendarnego już „wampa" amerykańskich filmów. Jest spokojny, ukryty jak gdyby pod powłoką wspaniałej „kobiecości", stuprocentowej w każdem spojrzeniu pięknych oczu artystki, w każdym geście, w każdej piosence, jaką śpiewa na scenie.

Debjut sceniczny Julji Kraszewskiej połączony był z nielada... tragedją, o której pani Julja opowiada z wielkim humorem i niekłamanym sentymentem dla tych wspomnień. Niema chyba artystki, któraby bez wzruszenia wspominała o pierwszym swym kroku na deskach scenicznych.

— Było więc tak: — mówi pani Julja — miałam grać w sztuce Kiedrzyńskiego „Miłość bez grosza". Fantastyczne zabiegi i błagania o protekcję — nieuniknione w takich wypadkach. Wreszcie przyszła protekcja wprost rewelacyjna, samego autora. Miałam dostać rolę pokojówki, która przez trzy akty mówiła tylko trzy zdania. Pierwsze zdanie, w pierwszym akcie brzmiało: „Wanna gotowa". Pamiętać je chyba będę przez całe życie. Ale tragedja nastąpiła dopiero w drugim akcie... Miałam wnieść na scenę tacę z owocami. Owoce nie były prawdziwe. Taki rekwizyt, z drzewa. Może pan sobie wyobrazić moje wzruszenie na premjerze, potknęłam się i owoce wysypały się na podłogę... Takie drewniane kule, zamiast jabłek... Oczywiście narobiły hałasu, jak karabin maszynowy! Widownię porwał huragan śmiechu, łamiąc mi karjerę tak wspaniale zaczętą... trzema zdaniami, wanną, jabłkami drewnianemi i... protekcją samego autora!

— Ale jednak jakoś się pani wydobyła z tych opresyj? — pytam.

— No, oczywiście. Wstąpiłam do zespołu rewji „Wesoły Wieczór". Zdałam jako eksternistka egzamin w Państwowej Szkole Dramatycznej i wreszcie zadebjutowałam w Warszawie w większej roli w operetce „Carewicz", gdzie grałam Maszę. Potem przyszły dalsze operetki — „Wiktorja i jej Huzar", gdzie grałam Ruquette, oraz Rałka w „Kwiecie Hawaju".

— Ach, pamiętam tę wspaniałą rolę pani — przerywam — wyglądała pani wtedy jak prawdziwa Jawajka.

— Podobno, ale ile mnie to kosztowało pracy! Mój jawajski kostjum składał się... no, z kilku kwiatów. Musiałam się więc cała malować na bronzowo, i to tak „dokumentnie", z szyją i piętami. Przychodziłam pierwsza do teatru, już o godzinie 6 wiecz., bo malowanie zajmowało około dwóch godzin czasu. Ostatnia wychodziłam, bo tyleż czasu pochłaniało mycie się i powrót do barw Europejki.

— Czy pani karjera sceniczna związana jest wyłącznie z operetką?

— Nietylko. W kilku sztukach grałam w Teatrze Kameralnym, a mianowicie rolę Cecylji w „Brzydkim Ferrancie" oraz sekretarkę w „Myszy kościelnej". Pociąga mnie zarówno piosenka w operetce, jak i poważne role dramatyczne. Jeden cały sezon przebyłam w rewji, a mianowicie w Teatrze „13 rzędów", z którym, po sezonie warszawskim odbyłam wielkie tournée po Polsce. Objechaliśmy wtedy w 30 dni — 23 miasta polskie większe i mniejsze. Jeśli chodzi o moją pracę w rewji, tutaj powierzano mi raczej poważne, nawet dramatyczne recytacje, jak n. p. wiersz „Na 118 piętrze", który deklamowałam właśnie w czasie owego tournée.

— Wreszcie osiadła jednak pani na stałe w operetce. Przecież w Teatrze „8.15" widzimy panią już drugi sezon, i to niemal we wszystkich operetkach tutaj wystawianych. Ileż ich było?

— „Colette", „Narzeczona zaginęła", gdzie śpiewałam wstawkę, „Pomyłka", potem rola Rosalie w „Cnotliwej Zuzannie"...

— I obecnie prześliczna pani rola — dodaję — fascynującej cyganki w „Krysi Leśniczance". Jakoś los ciągle obdarza panią rolami egzotycznemi. Jeśli idzie o mnie, zakochałem się w pani jako cygance z „Krysi"... Nie mogę wyjść z podziwu, dlaczego polski film nie wykorzysta tych wspaniałych egzotycznych atutów, jakiemi pani rozporządza. Widziałem mnóstwo pani fotografij, i zawsze stwierdzałem, że jest pani bardzo fotogeniczna.



Fot. Halina Zalewska — Warszawa.



Fot. Halina Zalewska — Warszawa.

Artystka nie kryje się z tem, że chętnie stanęłaby przed filmowym objektywem. Na wszystko jednak przyjdzie czas. Narazie, wobec wielkich upałów letnich trzeba pomyśleć o jakimś wyjeździe z miasta...

— Słyszałem — mówię — że pani jest entuzjastką morza Śródziemnego.

— A tak, siedziałam raz aż dwa i pół miesiąca w Nicei. Ale zniechęciłam się...

— O! Dlaczego? Przecież tam tak pięknie.

— Widzi pan, to nie to... Mieszkałam w Nicei w „Pension des Etats Units". Pensjonat ten znajduje się w gmachu starej prefektury z czasów napoleońskich. Zapewniano mnie, iż mieszkam w pokoju, w którym przebywał kiedyś Napoleon. Znajomi straszyli mnie, że Napoleon przychodzi w nocy do tego pokoju.

— No i co? — pytam — ubawiony,

— Przedewszystkiem, gdyby nawet przychodził, nigdyby mnie nie zastał... Co noc szalałam na dancingu. Poza tem — przekonałam się, że nigdy nie przyszedł. Szkoda. I to mnie zniechęciło do Nicei. Wobec tego w tym roku zdecydowałam się na... Śródborów pod Warszawą.

— Zmiana niezbyt rewelacyjna!

— Niema na to innej rady. „Krysia Leśniczanka" ma takie powodzenie, iż grać ją będziemy, zdaje się, całe lato. Trzeba więc chociaż na kilka godzin dziennie wyjeżdżać z Warszawy i to gdzieś blisko.

— Poza tem... — mówi tajemniczo sympatyczna pani Julja — jeszcze jeden mam powód, dla którego nie pojadę narazie zagranicę. Wówczas, w Nicei, byłam sama. Pan wie, jak trudno podróżować po obcych krajach samej kobiecie. Wróciłam stamtąd poprostu... wystraszona. Czekam, aż będę mogła wyjechać.. z kimś...

Romlt.

Hansom-Cab

★

ZYGMUNT HAUPT

NOWELA

Jeżeli siedzi się przez cały dzień na wysokim koźle hansomcabu, jeżeli przytem ma się stanowisko na Strandzie, jeżeli dzieje się to w sercu świata i do tego w roku 1885 w Londynie, to można o sobie powiedzieć bez przesady, że zna się wiele spraw ludzkich.

Tego zdania był John Wosley. Nie bez słuszności. W dzień Strand szumi jak rzeka, na morzu dachów pływa bąbel kopuły św. Pawła, tłum mieni się i faluje, przewalają się ciężkie wozy Pickford et Co, jednostajnie klaszczą kopyta koni setek pojazdów, wędrują kolorowe reklamy piętrowych omnibusów i fosforyzuje woda rynsztoków.

Kursy od Leicester Square, Fleet Street, Regent Parc, Tate Galery, Hyde Parc Corner, przez Waterloo Bridge, Piccadilly, w cieniu Tower Parlamentu, w blasku Trafalgar Square, przed kratami Buckingham Palace do Chelsea, Soho, Doków, od West End, od Kensington do Nottinghill, kursy po małym świecie Londynu, który jest odbiciem całego świata.

John Wosley mawiał często do Berta Colla, posłańca w zielonym fartuchu, powiernika i przyjaciela: — Gdyby Pan Gladstone miał jak drugi Harun al Raszyd chętkę poznać świat od podszewki, to ani chybi poznałby go z kozła dorożki.

— Uważasz, Bertie — mówił — jeżeli patrzysz na ludzi z wysokości dziesięciu stóp, to nabierasz większej pewności siebie i twój objektywizm — nie wytrzeszczaj tak gał na mnie — twój objektywizm jest niezmącony.

John Wosley był oczytany, w swojej przegrodzie na Malabar Street, gdzie mieściły się stajnie, między torbami z owsem i staremi rzemieniami miał półkę z książkami. Boswella „Żywot Johnsona" Pepysa „Dziennik", zniszczony tomik Ruskina „Siedm lamp Architektury" i „Bohaterów" Carlyla. Miał kiedyś jeszcze Buclejowską „Historję cywilizacji w Anglji", ale łobuzy z Malabar Street wyciągnęli ją w czasie jego długich nieobecności i wykleili z niej latawca.

John Wosley nie był megalomanem ani snobem. Poprawnym językiem literackim nie chciał odgradzać się od slangu londyńskiego Berta. Raz dlatego, że gdzie mu tam do iskrzenia się manierami dżentelmena, dorożkarzowi w wyblakłym kitlu i pozieleniałym od starości sztywnym kapeluszu, powtóre uznał dosadność i bezpretensjonalność gwary rynsztokowej. Uważał jedynie, że abstrakcyjne i metafizyczne myśli, jakie nasuwają mu się z obserwacji życia i tak trudno wyrazić, nawet w bogatej obfitości słów języka z Pall Mall i Royal Court.

John Wosley miewał gorsze strapienia Strapienia—możnaby powiedzieć — z natury swej bierne. Trudno na tem miejscu wnikać w gąszcz urazów i zahamowań małego, cichego, o skrzywionych łopatkach człowieczka. który w jesienne szarugi, zimowe mgły i duszne upały lata z zakrzywionym znakiem zapytania bata, jak z berłem w dłoni, królował z wysokości dziesięciu stóp nad szumiącym w dzień i cichym w nocy Strandem. John Wosley w swem przeciętnem życiu zaznał emocji tyle, ile jest danem każdemu człowiekowi. Przeżył zawody, burze, radości, rozczarowania, nadzieje, upadki, wzniosłości. Te same zawody, wstrząsy, ekstazy, szały, nostalgje, spleeny dostępne są każdemu śmiertelnikowi, czy jest członkiem klubu z Pall Mall, czy maharadżą Jodhpuru, Lordem Admiralicji, więźniem z Reading, profesorem z Trinity College, czy Rotszyldem. Różnica może polega na tem, że Jon Wosley w swej pięćdziesiątej wiośnie pełen był naiwnej i gorzkiej pychy, że przejrzał już wszystko, że przetasowawszy swoje i cudze karty kilkadziesiąt czy kilkadziesiąt tysięcy razy, uważał, że ma klucz do wszystkich innych możliwości, jakie ograniczona ilość kart w talji taroka może dostarczyć.

Wiezie naprzykład w pudle hansomcabu zrozpaczonego bankruta na Fleet Street. Podsadził tłustego pana na stopień, ściąga lejce, ale chudy żwawy Tom — kasztanowaty wałach — wpada w zrutynowany trucht, wysokie koła hansom'u ocierają się o krawężnik chodnika. W pudle powozu, jak w wędrującej celi skazańca, przewala się galaretowate cielsko patrycjusza, który w apoplektycznym błękicie policzków, w schizofrenicznym bełkocie błądzących palców przeżywa raz jeszcze swój ból, przeżywa raz jeszcze swą rozpacz. John Wosley już to sobie sklasyfikował, batem rzeźko klaszczącym akcentuje sobie i skanduje formy i określenia.

— No, następny! — i oto tanecznie i nonszalancko wskakuje do cabu fircyk, któremu poszła dziś wieczór karta, a umierająca ciotka zostawi dużo pieniędzy. To nowa kukła tak skrupulatnie obdzielona przez los... tym razem radością.

‚Mamy kurs szylingowy — Tomie!" W cabie tym razem żyd lichwiarz z East End z nadziejami zysków i strat, potem znów obwozi pustą strojnisię, której sukni falbany czepiają się długich szprych hansom cabu, potem zkolei ściśnięty gorsetem i opięty w ciasny czerwony mundur porucznik z nieuniknionym monoklem i foksterjerem, po nim uczony o niechlujnej brodzie do British Muzeum i blady pacjent do szpitala.

John Wosley klasyfikuje ich bez trudu, nie ma dla nich ani szacunku, ani entujazmu, ani wstrętu. Są tymi samymi sztonami które przewalają się po zielonem suknie stołu w rytm wyrzucanych oczek kości z kubka gracza.

Pesymizm Johna Wosleya, wiara w nieuniknione wstępowanie schematu, jakim jest życie we wszytkich swych przejawach, miały swój nurt spokojny, jak oliwkowe wody Tamizy. Strand w perspektywie wystaw sklepowych szumiał i huczał: powozy przejeżdżały i wymijały się, z bruku unosił się delikatny pył, uderzała ostra woń końska, ulicznicy natrętnie żebrali wśród cylindrów mężczyzn i parasolek dam. Na wysokiem siedzeniu, za czarnym pudłem cału John Wosley gorzko przeżuwał w sobie nieuniknioną monotonję i automatyzm życia. Teraz nastąpi opowieść, jak John Wesley w swej pięćdziesiątej wiośnie miał stanąć oniemiały przed gruzami pesymizmu, którym tak odgrodził się od życia i z wyżyn którego patrzył na szumiący Strand.

A było to tak.

— Cab!

— Yes, sir!

Elegancki pan, w wysokim kołnierzyku, okrągłym sztywnym kapeluszu, jakie zaczęły wypierać cylindry noszone przed południem, niecierpliwił się, zanim cab podjechał do chodnika.

— Trinity Hall!

— Yes, sir!

Na Trinity Hall zatrzymali się przed domem, który wiek i sadza okryły dostojną patyną. Mosiężna kołatka wywołała z głębi domu zapleśniałego służącego, który bez entuzjazmu powitał eleganckiego młodzieńca.

— Tak, Sir, Reginald jest nieobecny, tak. lady jest u siebie, zaanonsuję... dobiegły do cabu strzępy rozmowy. Dorożka miała czekać.

Trinity Hall jest w upalne południe puste i nudne. Leniwe koty przeciągają się w słońcu na płytach chodnika.

Po dwudziestu minutach zgrzytnęły drzwi i młody człowiek zeszedł ze stopni. Był blady, kapelusz niósł w opuszczonej ręce, włosy miał w nieładzie, wzrok niewidzący. Stał chwilę, zrobił trzy kroki i znowu zatrzymał się. Ultramarynowy cień na wielkich płytach chodnika wiernie odtwarzał jego ruchy.

John Wosley, wyrozumiały i zblazowany czekał cierpliwie, potem dyskretnie trzasnął batem, a potem pudło hansomcabu w takt truchtu równie zblazowanego Toma potoczyło się wdół Trinity Hall.

Epizod ten nigdyby nie zaważył na określonym trybie życia Johna Wosleya, bo objekt kaprysów loterji został odstawiony na Strand i minęło już kilka tygodni od tego czasu ale los obracający swemi dłońmi również i sprychy hansomcabu, kazał potoczyć się jego kołom w nieuniknioną stronę.

Po powrocie z jednego z kursów, Bertie posłaniec, ten poczciwy chłopisko o oczach wołu, powiada:

— Zamówiono na szóstą do Trinity Hall.

Na miejscu okazuje się, że to ten sam dom z patyną i kotami. Po kilkakrotnem stuknięciu trzonkiem bata, drzwi uchylił ten sam famulus, powiedział „czekać" i zniknął.

Kamienie bruku połyskiwały od wilgoci. Zmierzch zapadał wcześnie. Jak żółw pełzały w jego fiolecie płomyki latarń gazowych. Listki glicynij na fasadzie domu lśniły jakąś chorą wilgocią. Z kresy kapelusza spadała od czasu do czasu kropla na skórzany fartuch. John Wesley pod ceratą płaszcza, błyszczącą jak szmelcowany pancerz medjolański, zasklepiał się w swym fatalistycznym pesymiźmie. Przywoływał na pamięć młodego człowieka z przed kilku tygodni, nieuniknionego desperata, banalną kulę kręglową, toczącą się w pochyłej rynnie życia i zastanawiał się nad tem, czy młodzieniec na tyle już zmądrzał, żeby nie uważać się już w swem nieszczęściu za ośrodek wszechrzeczy. Gdzieś na dnie świadomości było Johnowi trochę żal nawet młokosa. Z drugiej strony miał jakgdyby uciechę. Cóż to znowu. Wyobraża sobie taki, że jak carlylowski bohater jest olbrzymem, że czaszka jego to pieczara, fałdy mózgowe to chmury, myśl w nich to błyskawica, barki to góry, a serce to wulkan? A potem w obliczu kapryśnej kobiety, któ-

rej intelekt jest tylko lusterkiem odbijającem jej banalny światek, lusterkiem w ładnej oprawie, olbrzym rozpada się w kawały, kurczy do rozmiarów chińskiej statuetki.

Skandował w myśli trzaskaniem z bata nad kościstym grzbietem i obwisłemi uszami Toma.

Szczęknęły masywne odrzwia i po stopniach zbiegła do powozu dama. Miała jakby w pośpiechu zarzuconą pelerynę, z pod wstążek kapelusza wymykały się ciemne włosy i w mżącym deszczu zaperliły się odrazu mikroskopijnemi kropelkami wody. Wzniosła do Johna oczy, rzucając adres i w tym ułamku sekundy odczytał w nich tak bezbrzeżną rozpacz i boleść, że jego wysuszona na rzemień dusza drgnęła. Zbierając lejce nasz filozof stajennego chowu, był poruszony i zaniepokojony. Coś było tu nie w porządku. To usiłowało zachwiać solidnemi słupami i podporami jego własnego, samolubnego jakgdyby szczęścia.

Poprzez cienie drzew, blaski latarń, pochylone w deszczu postacie przechodniów uporczywie rzucał mu się w oczy lazur jej spojrzenia zakamieniałego w bólu.

— To było tak jak niebieska smuga — usiłował sobie sformułować wrażenie. Kopyta kłapały o bruk, czarne pudło cabu chwiało się na zakrętach, John Wosley był zaniepokojony i trochę poirytowany.

Kiedy zatrzymali się pod wyznaczonym adresem, było to gdzieś w okolicy Wingham Road, nie jest to zresztą ważne dla tej historji, dama nie wysiadła. John Wosley delikatnie zapukał w okienko, coś mu odpowiedziano; nie usłyszał. Czekał. Po dobrej chwili okienko się uchyliło i znów olśniło go spojrzenie młodej damy, która powiedziała:

— Proszę jechać byle gdzie... Proszę jechać...

Mijali bloki domów. O szyby cabu ocierały się gałęzie drzew, z perspektywy placów nadpływały dostojne posągi, odbywały lakoniczny sąd nad nieszczęśliwą podróżniczką, ale nie danem było jej usłyszeć wyroku. Uciekali ku wieżom gmachów, ustroniom parków, do gwaru rojnych ulic i pustek zaułków. Tamiza wybłyskiwała w światłach parowców; zadudnił Waterloo Bridge i odbiły się w mętnych wodach wiśniowe mury Parlamentu.

Tom, zmęczony długim kursem, przeszedł nieznacznie z pilnego truchta w stępa i John Wosley zaniepokoił się na dobre. Stanęli. John Wosley zlazł z kozła i z szacunkiem, dotykając batem brzeżku kapelusza, jakgdyby salutował wielkiemu cierpieniu damy, zajrzał do wnętrza.

To, co zobaczył, skłoniło go do gwałtownego szarpnięcia klamki powozu i rzucenia wokoło rozpaczliwych spojrzeń, jakby szukał pomocy. Na poduszkach powozu z odrzuconą w tył głową, z twarzą śmiertelnie bladą leżał już trup młodej kobiety. Uparte drzwiczki ustąpiły wreszcie.

Kobieta jeszcze żyła. Z kolan jej stoczyła się jakaś flaszeczka i z cieniutkim dźwiękiem rozprysła się na bruku.

John Wosley stał bezradny; usiłował pogłaskać ją po wymykających się z pod kapelusza lokach, na których lśniły jeszcze kropelki wody, potem znów rzucił zrozpaczonem okiem po pustej ulicy.

Zanim wielki, opasły Paddy, policjant nadbiegł na gwałtowne ruchy rąk i zduszone krzyki Johna Wosleya, młoda dama już nie żyła.

W zimnej rączce ściskała suwerena, zapłatę za swój kurs.

* * *

Kiedy w parę dni potem John Wosley odwoził znalezioną w cabie mufkę młodej damy, która otruła się w ów ponury wieczór, dowiedział się detali. Zgryźliwy famulus wtajemniczył go w bardzo zresztą banalne szczegóły całej historji. Młodzi się kochali: potem ona wyszła zamąż za innego, którego nie kochała, a potem żyć bez siebie nie mogli i tak dalej, i tak dalej...

John Wosley nie czytywał już w wolne wieczory od kursów Carlyle'a ani „Żywot Dotkora Johnsona". Owszem, darował je łobuzom z Malabar Street, iażeby mieli z czego wyklejać latawce. Leżał godzinami, wsłuchując się jak monotonnie chrupią konie owies i tupią głucho kopytami. Myślał o tem, że są pewne rzeczy do przeżycia zawsze inne i niebywałe i że są pewne sprawy, których przeżyć nie można.

Wtedy to także John Wosley zaczął pić.

FRAGMENT EPOPEI

J. D'ESPARBES — **TŁUMACZYŁ W. S.** — **NOWELA**

15-ty października. Murat, w stroju tambour-majora, obległ Erfurt na czele swojej jazdy.

Erfurt — lub Erfort — warowna stolica Górnej Turyngji, o pięć mil od Weimaru i dziesięć od Jeny, przeszedł na własność pruskiego króla wraz z całem terytorjum na mocy 3-go artykułu wyrównawczego traktatu. W mieście przebywało 14.000 żołnierzy, książę Oranji, marszałek polny Moellendorf, wielkorządca Berlina, generałowie-porucznicy Larisch i Graver i sto dwadzieścia armat — ale wystarczyło, aby Murat pokazał tylko swój pióropusz i natychmiast generałowie, wojsko i działa poddali się.

Erfurt zdobyła fanfara.

— — — — —

Spisano z jednej i drugiej strony warunki kapitulacji cytadeli. Odpowiedź na pierwszy artykuł brzmiała w ten sposób:

„Wojska J. W. Cesarza i Króla zajmują od tej chwili wszystkie stanowiska. Jutro, 16-go października, w południe, garnizon wyjdzie z bronią, bagnetami, rozwiniętemi sztandarami i działami bataljonowemi. Złoży broń na placu i stanie się więźniem wojennym. Panowie oficerowie zachowają szpady i umundurowanie; wrócą do Prus, złożywszy słowo honoru, że nie wystąpią do walki dopiero po wymianie jeńców. Dostarczymy środków celem przetransportowania ich wraz z mieniem ze względu na przykre położenie, w jakiem się znaleźli."

Wszystko stało się, jak było ułożone. Zarekwirowano na podstawie osobnego rozkazu dyliżanse, berlinki, wozy, furgony i Prusacy odjechali.

Król bawił w pobliżu. Znaczna część oficerów postanowiła przedstawić mu się przed powrotem do Berlina. Skoro już wybrano drogę, ruszyli wszyscy razem — około stu — trzy czwarte, w ich liczbie kilku rannych, powozami reszta konno.

Jechali tak od godziny i noc zaczęła się zbliżać, kiedy w odległości stu metrów, na środku gościńca, zamajaczył jakiś cień.

— Stać!

Oficerowie, wychodząc z tego założenia, że w wojnie nie biorą już udziału, chcieli przejść mimo; rozległ się huk wystrzału i pierwszy jeździec upadł.

— Stać! — zawołał z daleka jakiś szorstki głos.

Oddział zatrzymał się — i w płomieniach wieczora oficerowie poznali po wielkiem czaku żołnierza.

— Qui vive? — zawołał jeszcze.

Gromada poruszyła się. Kilka spłoszonych koni uskoczyło w bok. Chwila przeznaczona na wyładowanie i nabicie broni: w ciszy wieczora zagrzmiał wystrzał, potem drugi. Następny! Następny! I cztery konie rozciągnęły się we krwi.

Teraz grenadjer nie pytał już i zaczął strzelać do powozów, ludzi i zwierząt. Prusacy, zdumieni, że jeden człowiek wstrzymuje ich na drodze, zebrali się jakby na naradę. Mieli przy sobie tylko szpady. Sznur powozów zatrzymał się, a konie wierzchowe cofnęły się w tył. W oddali ,w mrokach wieczoru, który szybko zapadał, żołnierz strzelał ciągle.

Widać było, jak wyjmuje nabój, odgryza go... potem mijało pięć sekund, groźnych, jak śmierć, czas potrzebny do oczyszczenia zapału, nasypania prochu na panewkę, przełożenia broni do lewej ręki, wsadzenia naboju w lufę, wyjęcia stępla, przybicia nim naboju, założenia kłaków, wymierzenia i oddania strzału, który zabijał człowieka... Powtarzało się to wciąż w kółko i padał trupem drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty, siódmy, ósmy... Był już przy dziewiątym.

Rozległ się strzał.

— Dla dziesiątego! — zawołał żołnierz.

Ale w chwili, kiedy nabijał broń, rozstawiwszy szeroko nogi, jakiś oficer podjechał w galopie i ciął go szablą w czako.

— Ah! — rzekł żołnierz po prostu. — Zdaje mi się, że chcesz, abym ci dał pamiątkę.

Błysnął jego bagnet; oficer, ugodzony w szyję, zwalił się pod nogi konia.

— Tobie też, moja szkapo! — szepnął żołnierz.

I jednem cięciem noża wypatroszył zwierze, stwarzając sobie barykadę z jego cielska.

Dwudziestu ludzi wypadło na niego, pomiędzy nimi piętnastu wyprostowanych na siodłach, wściekłych z gniewu i górujących nad nim całym tułowiem. Otoczył go wielki krąg szabel i na jego owłosionej piersi otwarły się cztery butonierki, ale pięciu ludzi runęło na ziemię.

Wtedy burza wściekłości pchnęła na niego Prusaków i twarz żołnierza zaczęła stopniowo krwawić po licznych skaleczeniach. Obnażona, pokiereszowana, pocięta, zmordowana i wspaniała, urągając błyszczącym szpadom i ociekając krwawym deszczem, ta głowa żołnierska wyzywała do ciosów i w gęstwinie szabel, jak purpurowa kula zimowego słońca, podnosiła się, podnosiła, składając hołd Bogu, w którego rękach spoczywa los bitew, rosnącym ciągle stosem trupów. Wkońcu jednak uległ:

— Dostałem!

Ucho spadło mu na szyję; schylił się, aby je podnieść, zerwał się na nogi, wybuchnął śmiechem, zabił dwóch ludzi i w jednym skoku znalazł się z powrotem na stanowisku, budząc grozę:

— Na kogo kolej? Na kogo?

Wypalił w tłum prawą ręką, podczas gdy lewa dłoń jego potrząsała w powietrzu skrwawionem uchem:

Dokończenie na str. 12-tej.

Z ZIEMI RODZINNEJ MIKOŁAJA REYA



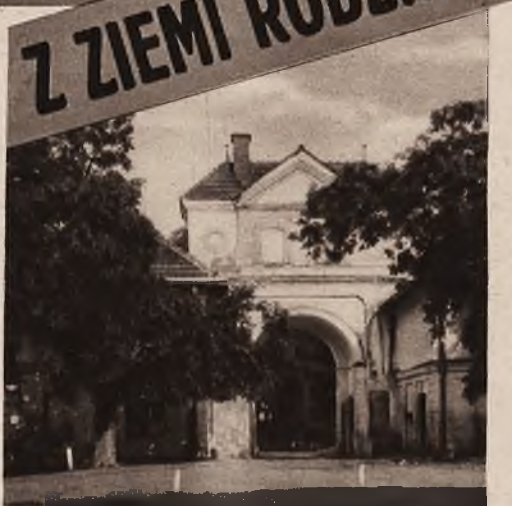
Pałac w Żurawnie n/Dniestrem, od strony parku. (Wł. Heleny z hr. Skrzyńskich ks. Czartoryskiej).

Nad wstęgą majestatycznie płynącego Dniestru, zasłonięte od wschodnich wiatrów wyniosłem, lesistem wzgórzem Bakocynu — leży Żurawno. Dawna to osada. Przy końcu XV. w. siedzieli tu Żurawieńscy. Jeden z nich, żonaty z Barbarą Herburtówną, siostrą kasztelana bieckiego, w walce z Tatarami na Bukowinie (1497 r.)? dostał się do niewoli i zmarł nie doczekawszy się swobody. Wdowa po nim z dwoma synami, poślubiła następnie także wdowca Stanisława Reya herbu Oksza, który po ożenieniu się osiadł z żoną w Żurawnie, majątku jej dzieci z pierwszego małżeństwa.

Tu, w mięsopustny wtorek, 1505 r. przyszedł na świat Mikołaj Rey, pierwszy w Polsce narodowy literat świecki, słusznie uważany za ojca polskiego piśmiennictwa. Żurawno zostało jednak przy Stanisławie i Willibrozdzie Żurawieńskich.

Potem miasteczko wsławiło się waleczną obroną i zawarciem w niem przez Jana III pokoju z Turkami w 1676 r. Podobno z tego czasu pochodzą stare dęby, rosnące na błoniach nad rzeką.

Gdy ważyły się losy Polski, król Jan III. miał jeszcze czas, aby w liście do Marysieńki zachwycać się obozem Szejtana Paszy: „Nic piękniejszego od ich obozu" — pisał — „miljony namiotów, a trzeba przyznać, że armja jest wielka, piękna i wyćwiczona. Gdy w nocy zapalą ognie, jest na co patrzeć. Tak właśnie bywa grób z lamp zrobiony w wielki piątek u Bernardynów".



Stara brama wjazdowa w Psarach.

Wszystkie zdjęcia Ksawery Niedobitowski, Morszyn

Niegdyś istniał w Żurawnie stary zamek, po którym nie wiele zostało dziś śladów. Oprócz różnych kamiennych rzeźb, kilku odkrytych korytarzów podziemnych i legend z niemi związanych, — właściwie tylko lamus jest jego godniejszą uwagi pozostałą częścią. Na obramieniu drzwi stosunkowo dobrze zachowany renesansowy ornament. Grube mury pękają niestety i rysują się mimo troskliwej opieki właścicielki, Heleny ks. Czartoryskiej. Trzeba też ściąć sędziwy dąb, wyrastający z pod fundamentów budynku i wskutek tego go rozsadzający.

Miejsce starego zamku zajął w czasach późniejszych okazały pałac z dwoma terasami, obrośnięty latem żółtemi japońskiemi różyczkami, stojący wśród bardzo ciekawych drzew, sadzonych ze znawstwem i zamiłowaniem. U ówczesnej dziedziczki Żurawna Eweliny z hr. Siemianowskich Tadeuszowej Żebrowskiej, kobiety o bardzo oryginalnych pomysłach, bywał Artur Grottger, lubiany przez nią i ceniony.

Od Żebrowskich klucz żurawieński przeszedł do Skrzyńskich. Ci, opodal miejsca, gdzie stał dom Żebrowskich wybudowali nowy, okazały pałac w stylu francuskim i pięknie go urządzili. Niestety, najpierw wielka wojna poczyniła tu ogromne spustoszenia, a reszty dokonał pożar w 1929 r. — Wprawdzie całość ocalała, ale zawaliły się sufity i zniszczały całkowicie piękne stiuki, ozdoba kilku pokoi. Dziś dom jest w trakcie ostatecznej restauracji, ale np. z powodu zbyt skomplikowanej konstrukcji wiązań dachowych, nie można mu było przywrócić zupełnie wiernego poprzedniego wyglądu.

Wewnątrz kilka starych cennych obrazów i białych kruków jeśli chodzi o książki, obok zupełnie nowych o ślicznych linjach kominków alabastrowych, wykonanych we własnej pracowni. Wart uwagi jest też biust wyrzeźbiony w alabastrze przez jedną z młodych księżniczek Czartoryskich, zdradzającą duży rzeźbiarski talent.

W parku okazy rzadkich drzew, których nazwy trudno z powodu ich ilości wyliczać. W każdym razie ogród żurawieński — to raj dla botaników. Cała zaś falista okolica, pocięta głębokiemi dolinami jest początkiem słynnego z pięknych widoków Podola.

Nawiązując do rodziny urodzonego w Żurawnie Mikołaja Reya, warto wspomnieć, że potomkowie jego, wprawdzie nie zostali przy Żurawnie, to jednak są od połowy XIX. wieku w jego okolicy, mianowicie w niedalekich Psarach, dziedzicząc je po Wilhelminie z Głogowskich hr. Reyowej. Ona też ufundowała dzisiejszy pałac także w stylu francuskim zbudowany, a odznaczający się lekkością i strzelistością linji. Dawniej był tu, jak i w Żurawnie obronny zamek, po którym jeno brama wjazdowa się zachowała, później zupełnie zresztą zmodernizowana i przystosowana do charakteru pałacu.

Obok domu stoi wiekowy platan, tak roz-

Dokończenie na str. 31-ej.

Poniżej: Dawny pałac XX Jabłonowskich w Bursztynie prezentuje się wspaniale, przypominając francuskie budowle z XVIII wieku.

Poniżej: Dwa style — renesans i gotyk złożyły się na piękną całość pałacu w Psarach, własności Ludwika hr. Reya.





Dokończenie ze str. 10-tej.

— Che! Sprzedawcy słoniny! Na kogo kolej?

Prusacy godzili w niego razem, odchodząc od przytomności ze wstydu, a ramię żołnierza wyszukiwało ofiary. Przechodził z miejscą w miejsce, wypadał, gryzł, cofał się; — a bagnet, z którego za każdym razem spływały czerwone krople, torował mu drogę w szergach. Żołnierz nie przestawał się śmiać i w skupieniu, przekonany, że musi umrzeć, zabijał, ile mógł i rozdzielał ciosy na prawo i lewo, przed i za siebie w potężnym wysiłku, waląc ludzi na konie, zwierzęta na ludzi w jeden stos, niby grabarz własnego życia, który gotuje zapas ścierwa, kopie dziurę i zbiera do niej nawóz. Był tak wysoki, że górował nad Prusakami w mroku całym tułowiem. Ponieważ bagnet nie wystarczał, przyszła mu do głowy myśl, aby nabić broń i rozpocząć strzelaninę na bliską odległość. Wsparty na karkach, z podartą na piersiach koszulą, pokryty krwią, wziął nabój, odgryzł, opróżnił go... kiedy wtem w pełnym galopie przypadły do niego dwa wierzchowce, uderzyły o barykadę, pozwoliły ukryć się za nią dwóm jeźdźcom. Dał się słyszeć okrzyk radości i dwa ostrza przeszyły grenadjera, jak dwie szpilki.

— Ah- — rzekł. — Przybywacie za późno. Nic wam ze mnie nie przyjdzie... Wsadziłem ucho do lufy.

Wypalił, mierząc w ich stronę, zachwiał się i z okrzykiem: Niech żyje Cesarz! upadł na ziemię, zemdlony. Wówczas chwyciło go trzydzieści rąk, wrzuciło do powozu wraz z trupami — i Prusacy ruszyli w milczeniu w dalszą drogę.

Dopiero o dziewiątej dostali się do króla. Bawił on w małej wiosce, gdzie zgłaszały się co chwila tłumy uciekinierów; przybywali w nieporządku, bez dowódców, zdemoralizowani wspomnieniem Jeny. Wilhelm, stojąc w swoim namiocie wraz z Moellendorfem, który przybył z Erfurtu, zaczął wypytywać oficerów.

Wiedział już o kapitulacji; przed chwilą wysłał nawet list do Cesarza, pełen układnych słów i nie tak bezczelny, jak grana przez jego gwardję fanfara w wilję 14-go października. Opowiedziano mu historję o zaatakowaniu pojazdów; nie chciał wprost temu wierzyć i wydał rozkaz, aby przyprowadzono grenadjera.

Zaczęto przetrząsać powozy i znaleziono go pod stosem trupów.. Oprzytomniawszy, zaczął kląć, nie posiadając się z wściekłości, bił swoje trupy pięściami, kolanami i wymyślał „trucicielom". Wydobyto go z tej kostnicy z podartemi trzewikami, mokrego, jakby wyszedł z krwawej łaźni i zaprowadzono go do Wilhelma. Król tego sobie życzył.

Ujrzawszy żołnierza, zbladł. W istocie, było to straszliwe widmo, żyjący trup, któremu krew spływała z nosa, z zębów, oczu i uszu... Wilhelm zadrżał.

— Jak się nazywasz?

Grenadjer, nieruchomy, o trzy kroki od króla, odpowiedział:

— Le Kenneck, Bretończyk, z powołania rozdawca nagłej śmierci.

Rozglądał się dokoła ze złośliwym uśmiechem. Oba policzki przecinała mu blizna, to też śmiech ten wydawał się jakby raną.

— Ile trupów? — zapytał Wilhelm.

— Dwadzieścia pięć — rzekł oficer.

— A więc to ty zabiłeś mi dwudziestu pięciu ludzi? — zapytał Wilhelm.

— Być może — rzekł Le Kenneck. — Nie liczyłem.

Zapadła cisza; monarcha spojrzał na żołnierza.

— A czy wiesz ty, co to jest kapitulacja?

— To zasada „nieprzyjaciela" — rzekł grenadjer.

— Kiedy armja się podda — mówił dalej Wilhelm — jest święta. Przyjaciele i wrogowie bratają się.

— Bratają się? — zawołał Le Kenneck. — Od dwudziestu pięciu lat, to jest od czasu, kiedy „podróżuję", nigdy nie widziałem nic podobnego.

— Skąd przybywasz?

— Z pod Jeny, gdzie walczyłem za cześć i sławę. Zostawiono mnie martwego w czworoboku pruskim, a kiedy odzyskałem przytomność, ruszyłem do Erfurtu, gdyż towarzysze mówili mi, że Postrzyżony teraz tam przebywa. Maszerowałem spokojnie drogą z przerzuconym przez plecy moim sześciostopowym klarnetem, który chłonie proch i oddycha ogniem, kiedy nagle ujrzałem Prusaków... Stój! Broń do oka!... Paf! Bądź co bądź, to wojna, nieprawdaż?

I znów zaczął się śmiać, ścierając sobie krew z ucha.

Moellendorf spojrzał na buty Wilhelma... Król przyglądał się żołnierzowi i myślał o grenadjerach Fryderyka.

— Od jak dawna jesteś żołnierzem?

Ranny zadrżał:

— Od oblężenia Ypres w 94-tym. Widziałem takie krwawe bitwy, jak Szafhuza, Traufel, Wintherhaus... Ah, Wilhelmie!... I zdobycie Zurüchu...

Moellendorf poczerwieniał i zaśmiał się. Król wybuchnął śmiechem, ale żołnierz, nie rozumiejąc, o co chodzi, mówił dalej:

— Nie liczę, że we wrześniu tego roku przeszedłem Limathen w gradzie rosyjskich kul, a w rok później... chwileczkę... Można być królem Prus, ale nie należy zapominać, że Francuz wychował się od wczesnej młodości na zwycięzcę świata i syna podbojów, czego dowodem skoki przez Ren i Dunaj, bitwy pod Moerskerck, Linsberg, Friberg, Ynn, Salzburgiem i...

— Tak jest — rzekł Wilhelm. — Przyznaję, że z ciebie dobry żołnierz, ale mimo to zasługujesz na rozstrzelanie.

— Niech żyje Cesarz! — zawołał żołnierz. I czekał niewzruszony.

— Kiedyż damy nauczkę tym Francuzom? — szepnął Wilhelm, zniecierpliwiony.

— Może w przyszłości — rzekł grenadjer. — Narazie nie ma o tem mowy.

Król podszedł do drzwi, dał znak i zwrócił się do żołnierza:

— Wracaj do swego cesarza. Daruję ci życie.

Spojrzał na Moellendorfa.

— Ten człowiek jest zbyt dobrym żołnierzem, aby go skazywać na rozstrzelanie. Cóż ty na to?

Feldmarszałek skłonił się.

Czterech gwardzistów ustawiło się przed namiotem, a Wilhelm rzekł jeszcze:

— Odejdź! Podziwiam twoją bohaterską odwagę; żal mi jednak, że służysz tak złej sprawie. Cesarz jest człowiekiem, nie znającym litości. Poświęci on was wszystkich, ciebie i towarzyszy twoich.

Na te słowa żołnierz odwrócił się. Porwał go wściekły gniew. Drżał na całem ciele i odpowiedział, stojąc już na progu:

— Wilhelmie — rzekł — szanuję cię, ale zmieńmy temat rozmowy, gdyż nie pogodzimy się nigdy, kiedy chodzić będzie o cesarza, jednego i niepodzielnego.

— — — — — — — — — — — —

Z groźną miną, wsparty o gwardzistę, czekał na odpowiedź. Ale Wilhelm nie rzekł słowa, podniósł palec, dając znak, aby żołnierza wyprowadzono — i Le Kenneck wciąż niewzruszony, wyszedł, pozostawiając za sobą krwawe ślady.

Dokończenie ze str. 2-ej.

ponieważ pustki panowały w kasach Jego Królewskiej Mości.

Otóż w takich wypadkach zwracano się nieraz o pomoc do Samuela Bernarda. Bankier, acz niechętnie, dawał przez wiele lat. Wkońcu jednak, kiedy zażądano od niego 5 miljonów funtów, zbuntował się. Rozumował słusznie, że jest tak pożyteczny swemu królowi, że powinien mieć z racji pożyczek nie tylko same kłopoty, ale i jakieś korzyści, jeżeli nie materjalne, to chociażby moralne. Na nalegania ministra finansów, Desmarets'a odpowiedział, że jeżeli kto chce od niego pieniędzy, może sam przyjść i poprosić. Sytuacja była bardzo nieprzyjemna: Ludwik XIV potrzebował nagwałt pieniędzy, a tu aby je otrzymać, musiał się poniżyć do prośby, musiał prosić człowieka o tak podłej kondycji, człowieka, który nie będąc szlachcicem, nie miał nawet prawa, aby być królowi przedstawionym.

Słusznie jednak mówią, że potrzeba jest matką wynalazku. Ludwik XIV kazał Desmarets'owi zaprosić bankiera na obiad do Marly, następnie niby przypadkiem znalazł się przed domem, w którym przebywał. Oczywiście minister i jego gość wybiegli na jego spotkanie. Ludwik XIV wyraził radość, że przypadek pozwolił mu poznać słynnego bankiera, o którym tyle słyszał i zaprosił go na spacer po ogrodach Marly.

W czasie spaceru rozmawiał z nim bardzo wiele, traktował na równo z dworzanami, był tak uprzejmy i łaskawy, że Bernard oczarowany i nieposiadający się z radości i dumy, oświadczył ministrowi po powrocie, „że woli zaryzykować swoją ruinę, aniżeli zostawić w potrzebie władcę tak rozkosznego". Zaryzykował tak poważnie, że zapłacił nie 5, a 6 miljonów funtów.

Najbliższe otoczenie króla-słońce odczuwało również, nie tak może boleśnie, ale znacznie częściej, uciążliwość stałego z nim przebywania. W specjalnie nieraz przykrej sytuacji były damy, zwłaszcza te, które cieszyły się szczególnemi względami monarchy. Ludwik XIV nie rozstawał się z niemi nawet w czasie podróży. Zwykle kilka z nich zapraszał do swej karocy i łaskawie pozwalał się zabawiać.

W każdą podróż zabierano do królewskiego pojazdu masę jadła i napojów i zaraz po wyruszeniu w drogę król zapraszał do jedzenia. Zaproszenie to było jednocześnie rozkazem: damy musiały okazywać jak najlepszy apetyt, inaczej bowiem traciły łaski monarchy i nie były więcej zapraszane. Brak apetytu, czy chwilowa, lub stała niedyspozycja, nie były dostatecznem usprawiedliwieniem. Należało jeść i nie było od tego wyroku odwołania. Ludwik XIV bardzo rzadko korzystał z zawartości koszów i puzder; rezerwował siły i apetyt na posiłki w czasie postojów, posiłki, od których biedne, najedzone już w czasie drogi damy, bynajmniej nie były zwolnione. Musiały dotrzymywać kroku królowi, który, jak wiadomo, cieszył się wspaniałym apetytem.

Cierpienia towarzyszek królewskich podróży nie kończyły się bynajmniej na tem. Podróżowano końmi, co trwało oczywiście bardzo długo, a nikt — oprócz króla nie miał prawa zatrzymywać karocy. Rzadkie postoje dla zmiany koni nie ratowały bynajmniej sytuacji, gdyż bez pozwolenia monarchy nie można było wysiadać, a prosić o pozwolenie — znaczyło narazić się nie tylko na kpiny, ale i na utratę łaski.

W tych warunkach te z pań, które odczuwały naglącą potrzebę samotności, musiały cierpieć nieznośne męki. A musiało się to przecież zdarzać stosunkowo często, gdyż przez całą drogę obficie się pożywiano. Oczywiście Ludwik XIV odczuwał również od czasu do czasu potrzebę chwilowego odosobnienia. Nie krępował się wówczas, zatrzymywał karocę i wysiadał, aby w spokoju zadośćuczynić swoim naglącym potrzebom. Damy jednak i w tych wypadkach nie mogły wysiadać, lecz musiały siedzieć i cierpieć. Takie to były już czasy.

Henryk Potocki.



Leśne nastroje

Las jest zawsze piękny czy o wschodzie słońca, czy wieczór, czy nawet w mgle deszczowej. Wyszedłem na zrąb wśród sosnowego lasu i znalazłszy odpowiednio wygodny pień, siadłem na nim, zrzuciłem surdut, bo było gorąco i położyłem na kolanach karabinek, by go mieć każdej chwili pod ręką, gdy rogacz wyjdzie na strzał.

Koło mnie cisza. Cisza? W lesie nigdy nie ma ciszy, trzeba tylko umieć wsłuchać się i rozumieć głosy lasu. Słyszę tuż koło moich nóg jakiś słabiutki szmerek. To mysz leśna, żółtawo-brązowa, z białą plamą na piersi, przewija się wśród traw szybkiemi ruchami wprost ku mnie. Duży bąk, niby sterowiec, leci i gniewa się basem, nie wiem czy na mnie, ale to wszystko jedno, byle nie zechciał siąść na moim nosie. Na szczęście nawymyślał tylko i poleciał dalej za swoimi interesami. Mysz po drodze spłoszyła ćmę, która tu przysiadła na liściu po wyprawie nocnej, nie wiem, czy natury gospodarczej, czy może romantycznej, bo to właśnie jest pełnia księżyca... Teraz mysz



Lis stał tak dobre kilka minut, wietrzył i skoczył w krzaki...



Mysz po drodze spłoszyła ćmę, która przysiadła na liściu po wyprawie nocnej...

jest już tuż koło mojego buta. Ona wie, dokąd dąży. Zmierza wprost do mojej kieszeni w surducie, leżącym na ziemi, bo w niej jest zawinięta w papier reszta mojego śniadania Mysz czuje to doskonale, wsuwa się do kieszeni i zaczyna chrupać. Niech chrupie! Tyle jej, póki sama nie zostanie schrupana przez lisa, puhacza czy łasicę. Takie jest prawo lasu, ale ja nie chciałbym, żeby mi wygryzła dziurę w kieszeni, więc ruszam nogą. Pod samą ścianą lasu coś miga, widać żółtą plamę na tle zieleni. Plama zostaje w miejscu. To lis, jest odemnie nie dalej, jak trzydzieści kroków. Głupi lis, żeby tak blisko podejść do człowieka. Mówią, że lis jest chytry i mądry. Djabła tam! Stał tak dobre kilka minut, wietrzył i skoczył w krzaki. Za to o dwa kroki odemnie pojawia się zając, staje słupka i patrzy na mnie. Nie boi się, wie dobrze, że ma urlop aż do października.

Komar uciął mnie teraz w kark, plasnąłem dłonią po szyi, zając uciekł. Mysz wróciła, widocznie smak chleba przytępił w niej instynkt samozachowawczy. Teraz znów coś zaszeleściło w trawie, a z bukietu paproci wysunęło się małe, śliczne stworzonko w brązowej sukience, białej pod brzuszkiem. To łasiczka w swem letniem futerku, zakończonem również brązowym ogonkiem z białym koniuszkiem. Powoli, bardzo ostrożnie ale stale, idzie ku mnie skokami. Po każdym skoku staje na tylnych łapkach, wdzięcznie wyprostowana i lustruje bystro otoczenie. Przypomina wtedy węża, zamierzającego atakować. W małym, płaskawym łebku nabierają czarne oczka zdecydowanego wyrazu. Błyszczy w nich żądza mordu. Mordu czy walki o byt? Jeszcze dwa skoki i łasica jest już tak blisko mnie, że mógłbym dosięgnąć jej ręką.

Patrzy na mnie, jakby pytała: No dobrze, ale gdzie jest mysz? Przecież możesz mi to powiedzieć?!

Nie ruszam się, nie jestem sędzią przecież między myszą a łasicą.

Nie moja sprawa. Łasica siedzi na tylnych łapkach znowu i widocznie sumuje, dlaczego ten jakiś wielki stwór — niby ja — nie rusza się. Przecież kiedyś chyba odejdzie, a wtedy ona, łasica, sama sobie da radę i zaspokoi głód. Nie ruszam się jednak, chociaż mnie komar jakiś, chytry na krew ludzką, tnie po ręce dokuczliwie. Łasica teraz chwyta się innej taktyki, odskakuje, jakby chciała pokazać, że jej to jest wszystko jedno, że ją mysz wcale nie interesuje. Skacze na prawo, to znów na lewo, ale główka jest stale zwrócona ku mojej kieszeni, w której znów siedzi mysz. Nagle robi większy skok i niknie. Co za przyczyna?

Zajęty obserwowaniem łasicy, nie spostrzegłem, że z drągowiny wyszedł i zaledwie na kilka kroków odemnie, stanął kapitalny rogacz. To on spłoszył łasicę.

Pewnie przez długi czas obserwował mnie z drągowiny a widząc, że się nie ruszam, podszedł tak blisko. Teraz patrzy na mnie swemi wilgotnemi, czarnemi świecami. Wydaje mu się, że jestem jakimś pokracznym pniem, zupełnie nieszkodliwym dla niego. Po chwili schyla łeb i zaczyna żerować. — Sojka strażniczka wprawdzie zwraca mu uwagę swym skrzekiem, że jednak nie wszystko tu jest w porządku, żeby był ostrożny, a sikorki piszczą swoje: no, no, no będzies ty widział... ale mój rogacz nie zwraca na to większej uwagi. Podniósł łeb, lecz zaraz zaczął się gębą czochrać po grzbiecie. Jemu także dokuczają komary i bąki. Potem schyla łeb ku ziemi i żeruje dalej spokojnie.

Widocznie uważa, że wszystko jest w porządku. Ja jestem tego samego zdania i ani drgnę, czuję jednak, że moja lewa noga cierpnie, więc ją trochę przesuwam. Zdaje mi się, że rogacz tego nie może zauważyć, ale on piorunowym ruchem dźwiga łeb i patrzy na mnie podejrzliwie. Zaczyna straszyć mnie szczekaniem. Teraz tupie badylami, aż liście, trawa i grudki ziemi wylatują w powietrze. Kawalarz, ledwie nie parsknąłem głośnym śmiechem. Jak on się irytuje zupełnie serjo...

Przychodzi mi myśl, co on zrobi, jeżeli się nagle podniosę i zobaczy, że nie jestem nieruchomym pniem. Kości mnie bolą od długiego siedzenia bez ruchu, więc się decyduję wstać, przedtem jednak rozglądam się, czy gdzie koło mnie niema jakiego drzewa, za którebym się schronił w razie ataku rogacza na mnie, bo to się zdarza, a wtedy uperlone ostre rożki mogą być niebezpieczne.

Zdecydowanym ruchem wstaję i prostuję się, przekonany, że jednak rogacz zlęknie się i ucieknie. Ale gdzie tam, kozioł wprawdzie odskoczył, ale natychmiast zwrócił się ku mnie, tupie dalej i wymyśla, „co mu ślina na język przyniesie". Ruszam ręką. Kozioł orjentuje się, że jednak lepiej będzie uciec. Skacze i ginie w gąszczach.

Zapomniałem dodać, że ten karabinek, który miałem na kolanach, to był aparat fotograficzny do zdjęć na polowaniach, zbudowany w kształt broni myśliwskiej.

Kazimierz Szczepański.

Poniżej: Na kilka kroków przedemną stanął kapitalny rogacz...
Fot. W. Puchalski — Lwów





JARACZ W KRAKOWIE

Na lewo od góry: Oto jak zmieniał się wyraz twarzy wielkiego artysty pod wpływem rozmowy z autorem feljetonu.

Dyrektor Frycz wie doskonale, jak ożywczym walorem dla każdego teatru są gościnne występy. Taka odmiana, dająca sposobność do porównań i zestawień, pożyteczna, nawet gdy się „na codzień" ma pierwszorzędny teatr, szczególnie cenną jest w monoteatralnem mieście, jak Kraków.

Gościnny występ, to zarazem zdopingowanie publiczności, która się z pójściem do teatru leni. Bo gościnny występ, to zawsze „okazja". Nie można machnąć ręką i powiedzieć sobie: „eh! jeszcze to będą tego roku grali!" Trzeba iść w tym tygodniu, teraz, dziś! Raz przełamawszy kompleks, już się do teatru wraca.

To też w ciągu ostatnich trzech lat widzieliśmy w Krakowie wielokrotnie i Junoszę-Stępowskiego, i Solskiego, p. Romanównę z Maszyńskim, zespół z Comédie Francaise, zespół Teatru Narodowego etc.

Weszło w zwyczaj, że z początkiem lata, kiedy Kraków zamienia się w sympatyczne zdrojowisko, kiedy przerzedza się z dzieci i z pochłoniętych niemi matek, oraz z co zamożniejszych snobów, a kiedy nieskorzy do podróżnych decyzyj intelektualiści jeszcze w mieście pozostają na kawalerskiem gospodarstwie, przez co częściej się nawzajem widują w kawiarniach i tam ze sobą dyskusję prowadzą, jednem słowem, kiedy w lekko opustoszałym Krakowie intelektualizm procentowo intensywnieje i, dzięki plantom, nabiera miłego perypatetycznego charakteru, weszło — mówię w zwyczaj, że wtedy następuje pierwszorzędna artystyczna uczta! przyjeżdża Jaracz!

Mój pełny podziw dla tego znakomitego, tak głębokiego artysty, serdeczna przyjaźń dla arcymiłego człowieka, nasuwają mi pod pióro całą eksplozję superlatywów. Ale nie! Na wszystkie superlatywy Jaracz zasługuje. Jednak trzeba się uzbroić w ścisłą prostotę na to, aby się zastosować do jego stylu. Uniknąć nawet pozoru floresu! To nie w jego guście.

Charakterystycznym rysem tego człowieka, a — co jeszcze ważniejsze — i tego artysty, jest prostota. Ta prostota, która towarzyszy głębokiej rzetelności, głębokiej i bezpośredniej „ludzkości", tak w człowieku, jak w sztuce. Bywają kabotynami czasem i wielcy aktorzy, tak samo jak pozerów znajduje się nawet pośród znakomitych poetów. Ten rys jest szczególnie wytłumaczony u ludzi, którzy spędzają życie, myśląc o „roli", a więc o efekcie, który mają wywołać. Ale od tego właśnie rysu, od tej właściwości, Jaracz jest tak absolutnie wolny, jak n. p. wolnym był od chciwości św. Franciszek z Asyżu, a od sybarytyzmu Piotr Stylista.

Rozwodzę się nad tą kwestją z naciskiem, gdyż ma ona swój ważny odpowiednik w sztuce Jaracza.

Zastanawiałem się nieraz, dlaczego Jaracz jest jedynym w Polsce niezawodnym interpretatorem scenicznych utworów francuskich?... Utworów kraju, z którym na pozór mało co go łączy. Sądzę, że właśnie wspólną cechą Jaracza i ducha francuskiego jest ta prosta „ludzkość", to głębokie i bezpośrednie „człowieczeństwo", które z gry naszego artysty genjalnie promienieje. A co z tem idzie w parze, zupełny brak baroku. Tego baroku, który, zarówno ze swemi dodatniemi jak i ujemnemi cechami, stanowi charakterystyczny rys psychiki i artyzmu polskiego, a duchowi francuskiemu jest właśnie tak przeciwny.

Jaracz, czy to gra „Chorego z urojenia", czy „Pana Brotonneau", czy „woźnego", ojca ministra, czy starego Hochepot z „Szóstego piętra", zdaje się grać rolę dla niego napisaną. A role te wyszły z pod pióra tak różnych autorów, jak Molier i Alfred Gheri.

To „Szóste piętro" Alfreda Gheri było, bez wątpienia, perłą tegorocznych wystąpień Jaraczowego zespołu w Krakowie. Młody, jak przypuszczam, autor (jest to w każdym razie pierwsza sztuka, jaką wystawił), zabawił się w napisanie dla sceny utworu w stylu filmowym. Jest tam i malarzyna, klepiący biedę z żoną plotkarką i flakonik jodyny uwiedzionego dziewczęcia i młody szlachetny robotnik. Ot, filmowa historyjka w obrazkach z Epinal, okraszona melodyjkami, które rozbrzmiewają pod dachami Paryża; a wszystko odegrane cudownie, z lekkim wdziękiem, bez jednego potknięcia się dobrego smaku.

Z równie uroczym stylem odegrał zespół Jaracza niefrasobliwą sztukę „Cieszmy się życiem", okraszoną anglosaskim paradoksem, ale i anglosaską mętnością konstrukcji.

„Ludzie na krze", sztuka dobrze Krakowianom znana, przeznaczona jest dla mniej intelektualnej publiczności. Czy dlatego cieszyła się frekwencją tak wyjątkową, że aż niespodzianą? Chcę być optymistą i ogonek kasowy, gęstszy przy tej sztuce niż przy poprzednich, tłumaczyć właśnie pewnym intelektualizmem Krakowian, którzy, znając sztukę, chcieli porównać, jak wygląda w interpretacji Jaracza.

Chwalebny byłby to objaw, pełne nauki porównanie. Bo występy zespołu Jaracza, to wielka dla Krakowa lekcja artyzmu. Dla prostej publiki i dla teatromanów, dla aktorów i dla reżyserów. Może właśnie dla pokazania, jak znakomicie wyreżyserowany jest ten zespół (posiadający w swem gronie tak znakomitą reżyserkę, jak p. Perzanowska), przywiózł Jaracz tym razem do Krakowa trzy sztuki, w których żadna rola — nawet jego własna — nie występują zdecydowanie na plan pierwszy, a w których za to każda rola, każdy nawet „ogonek" wycyzelowane są pierwszorzędnie.

Obyśmy Jaracza częściej w Krakowie oglądali!

Ludwik Puget



Autor feljetonu oprowadza Jaracza i Perzanowską po swej pracowni rzeźbiarskiej.



Stanisława Perzanowska i Ludwik Puget.

Wszystkie zdjęcia dr. Azet — Kraków.

ZIELONY TRÓJKĄT NAD MORZEM BAŁTYCKIEM

Na mapie ten kraj wygląda jak zielony trójkąt, który swoim najdłuższym bokiem wspiera się o morze Bałtyckie. Tym trójkątem, którego jeden bok stanowi granica z Litwą i Polską, drugi granica z Sowietami i Estonją, a trzeci morze Bałtyckie — jest Łotwa. Kiedy się leci samolotem z Polski, pilot nie musi patrzeć się na busolę czy mapę. Niebiesko-srebrna wstążeczka Dźwiny doprowadzi go aż do Rygi i po zostawieniu na prawo starego miasta z jego wieżycami kłującemi niebo — pozwoli mu wylądować na zielonym materacu lotniska Spilve.

Dziś, kiedy po roku pobytu mam opuszczać ten kraj, myślami obracam się ku temu dniu, kiedy samolot wysadził mnie na lotnisku i po raz pierwszy znalazłem się w Łotwie. Z początku byłem przerażony ciszą Rygi, jej spokojem i brakiem wielkich wydarzeń, podobnych do tych, które wstrząsają raz po raz stolice Zachodu. A potem nauczyłem się cenić tę ciszę, rozsmakowałem się w niej, jak w starem, dobrem winie.

Uroki tego kraju nie są — jak gdzieindziej — łatwe do spostrzeżenia. Trzeba długo i cierpliwie wędrować drogami, oglądać stare miasteczka i zaglądać do futorów rozsypanych wśród pól, aby dojść do rozsmakowania się w pięknie Łotwy. Z początku w ciszy i wąskości starych uliczek odnalazłem urok Rygi. Stare, hanzeatyckie miasto rozsypało szeroko swoje domy nad obydwoma brzegami, wpadającej tuż tuż do morza, Dźwiny. Nie widać morza i jego fal z ulic Rygi, a jednak czuje się jego bliskość. Rozmaite flagi statków zakotwiczonych w samem niemal sercu miasta, u wybrzeża Dźwiny tuż przy pałacu prezydenta, mówią o znaczeniu Rygi jako portu. Latem pojawiają się śmigłe jachty szwedzkich i finlandzkich sportowców, to znów naładowane po brzegi niemieckie, polskie, czy estońskie statki turystyczne. Na ulicach słyszy się wówczas tylko język, którym mówią turyści, a koło wież kościelnych gromadzą się grupki ludzi, patrzących z głowami zadartemi ku górze na śmigające w niebo cuda architektoniczne majstrów norymberskich.

Pełne soczystej zieleni bulwary, które kilkoma ramionami przecinają śródmieście, wywołują nieuchronne skojarzenie z Krakowem. Te planty, pomiędzy któremi wąską niteczką wiją się kanały sennie płynącej wody, nadają latem przedziwny urok Rydze. A wąziutkie uliczki starego miasta przypominają stary Hamburg i Bremę, gdzie również nie widzi się morza, a jednak wyczuwa się na każdym kroku nierozerwalne węzły łączące te miasta z morzem i szerokiemi szlakami.

Latem pociąg, albo jeszcze lepiej zaprzyjaźniony jacht, zabiera nas ku plażom morskim. Pół godziny jazdy pociągiem, albo godzina jazdy jachtem i jesteśmy na „Rigas Jurmala" — ryskiej Riwierze. Nieprzerwany łańcuch will i domków otoczonych sosnowym lasem ustawił się tyraljerą nad srebrzystemi plażami. Morze jest tutaj ciche i łagodne, tylko kiedy na Bałtyku szaleje potężny sztorm, to fala rośnie nieco i zalewa piaskowe budowle wznoszone pracowicie przez dzieci. Wysokie fale i otwarte morze trzeba szukać koło Windawy, czy starej Libawy. Tam Bałtyk huczy i przewala się wysoką falą, miotając łodziami rybackiemi.

Ale Ryga i wybrzeże morskie to nie jest jeszcze cała Łotwa. Prawdziwą Łotwę trzeba szukać w cichych, samotnie położonych wśród pól futorach. W Łotwie niema wsi, tego rodzaju co w Polsce, czy Rumunji, lub Węgrzech. Tutaj domy mieszkalne wraz z otaczającemi je budynkami rozeszły się po zielonych polach, tworząc małe folwarki czy futory. Stąd też zupełnie inny jest charakter ich mieszkańców; nie mają w sobie nic uniżoności, ani też z fałszywej dumy. Są mocni i wiedzą, że siedząc na swej ziemi, przetrwają wszystko. Tak jak drzewa, które sadzili ich ojcowie i dziadowie, jak łąki i pola.

Szara, bezbrawna wieś łotewska, porozdzielana na drobne folwarczki, zmienia do niepoznania swoje oblicze w dnie wielkich świąt narodowych czy ludowych. Wtedy ze starych, okutych żelazem skrzyń wydobywają się wzorzyste, szerokie, fałdziste stroje ludowe, korony nabijane bursztynami, które wieńczą głowy kobiet, dziwnych kolorów chusty przypominające kapy hiszpańskie, instrumenty dawno zapomniane. Wszystko to co pozostało z przed wieków najpiękniejszego i najbardziej efektownego wychodzi na światło dzienne w dnie święta dożynek, święta pieśni ludowej, czy na „Janis Svetki" — wigilję świętego Jana.

Uroczystości około świętego Jana przeobrażają całkowicie Łotwę. Wydaje się, że jakiś szał radości i wesela ogarnął wszystkich. Chłodni, spokojni mieszkańcy położonej na północy Łotwy przypominają w te dni pełnych temperamentu Włochów lub Węgrów. Ulice Rygi i polne drogi rozbrzmiewają piosenką wesela i hulanki. „Liiigo, Liiigo" — śpiewają wszyscy. Na dwa dni zamiera życie, zamykają się biura i urzędy. Cała Łotwa śpiewa melodyjne „Liiigo, Liiigo" i oddaje się zabawom, których pochodzenie sięga czasów pogańskich. Wieczór 22 czerwca nazywa się „Zalu vakars" wieczór trawy. Na placach spotykają się gromady chłopców i dziewcząt, każdy z pękiem tataraku, poczem następuje walka do upadłego prowadzona przy pomocy długich kiści ziela tatarczanego. Kulminacyjny punkt uroczystości przypada na wigilję świętego Jana, święto „Ligo" — hulania, radości. Dziewczęta i chłopcy w wielkich koronach z dębowych liści śpiewają stare pieśni, tańczą o dziwnej rytmice tańce i skaczą przez ogień. W ten wieczór pije się z drewnianych kufli piwo „Ligo dzeriens" zrobione z zielonego jeszcze ziarna młodej pszenicy Dwa dni i dwie noce trwa ten czerwcowy karnawał Łotwy, potem znowu spływa cisza i owija swoim welonem cały kraj.

I teraz, za kilka dni, znowu ten sam srebrzysty samolot zabierze mnie z powrotem. Uciekając przed zimowemi mgłami i deszczami, przed szarugą krótkiego dnia i lodowatym wiatrem hulającym nad Bałtykiem — lecieć będziemy nad trójkątem Łotwy, który z zielonego zdążył stać się szaro-bronzowy. Obróciwszy się na siedzeniu kabiny, będę mógł raz jeszcze zobaczyć pudełka domów i iglice wież. Pośrodku będzie kreska Dźwiny. Potem rozpocznie się szary dywan pól, naszpikowany czerwonemi dachami futorów. To będzie ostatnie wrażenie wywiezione po roku pobytu z Łotwy. Obracając się w kabinie ku pozostawionej za sobą Rydze, uśmiechnę się przyjaźnie, tak jak w przyszłości uśmiechać się będę do wspomnień zielonej Łotwy.

J. Radzimiński





Panorama Rygi — na pierwszym pl[...]e kościół św. Piotra.

Na lewo: Przewodnik chóru mężc[...]n, biorącego udział w święcie „Ligo[...]



Na prawo: Typ dziewczyny z okol[...] Kuldigi w regjonalnym stroju.

Wszystkie zdjęcia: Ed. KRA[...]GS — Ryga.



Rybacy z okolic Windawy wypływają na morze.



Kobiety z Cesis przy kołowrotkach.

ŚWIĄTYNIE TECHNIKI

Twórcze prawo życia stawia przed współczesnym człowiekiem coraz wyższe wymagania. Każe mu nie ustawać w ciągłem kształceniu się, w śledzeniu już zdobytych wyników i przyswajaniu ich sobie. To, co ongiś ludzie uważali za szczyt wiedzy, dziś stanowi zaledwie abecadło.

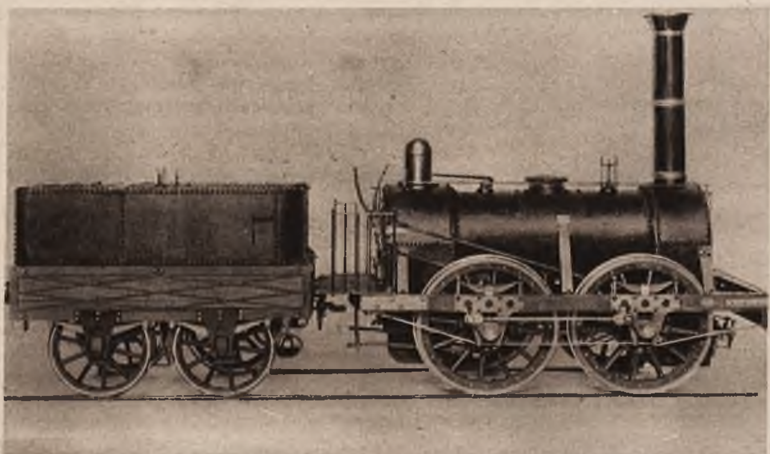
Takie myśli snują się zawsze, gdy zwiedzamy muzea o charakterze technicznym, gdzie zwykłego śmiertelnika — ogarnia więcej, niż gdziekolwiek nabożny wprost kult — dla ludzi nauki i bolesne samopoczucie własnej niewiedzy. W potocznem życiu pochłonięci małemi, własnemi sprawami — nie zastanawiamy się, ile zawdzięczamy nieustępliwej, dociekliwej pracy, tych, dzięki którym rano... z całym komfortem myjemy się w łazience, skąd woda wypływa za czarodziejskiem odkręceniem kurka, a śniadanie ugotowane na gazie jest gotowe w ciągu paru minut... Takiemi świątyniami nauki, które uprzystępniają czasem lepiej, niż książki — ewolucję wiedzy są Muzea Techniczne, których zadaniem nie jest li tylko gro-



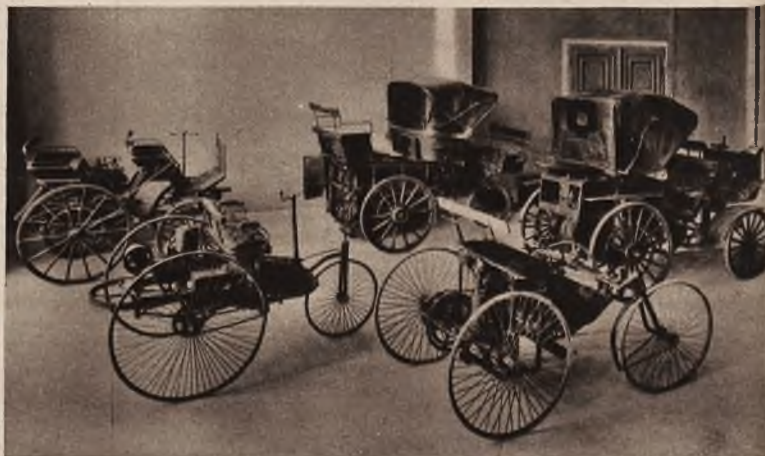
Wnętrze Narodowego Muzeum Sztuki i Rzemiosła w Paryżu.

chjum i do naszego w Warszawie. Lecz zacznijmy od początku...

Najstarsze Muzeum Techniczne powstało... gdzieżby indziej, jak nie... w „stolicy świata" — Paryżu, prawie półtora wieku temu, podczas rewolucji francuskiej. Przewodnią ideą jego założycieli było dokształcanie zawodowe robotników i rzemieślników... Muzeum mieści się w nieodpowiednim gmachu, bo w... dawnym kościele św. Marcina! Pomimo wielkiego bogactwa zbiorów Muzeum to (którego oficjalna nazwa brzmi „Conservatoire Nationale des Arts et Métiers", a w używanym skrócie „Sztuki i rzemiosł") nie spełnia należycie roli dokształcania, gdyż daje odczuć się w nim brak nowoczesnej organizacji, ułatwiającej pożyteczne zwiedzania. Wskutek małej wartości dydaktycznej tego Muzeum, odwiedzają go przeważnie nie szerokie rzesze, lecz uczeni i specjaliści. Zato wielką frekwencją półtora miljona osób rocznie, wejście gratis, cieszy się londyńskie „The Science Kensington Museum", istniejące blisko 90 lat, a w 1925 r.



Lokomotywa z tendrem, konstrukcji Stephensona (1833) w Muzeum Sztuki i Rzemiosła w Paryżu.



Sala automobilowa w niemieckiem Muzeum w Monachjum, które posiada najstarsze modele samochodów.



madzenie historycznych eksponatów, lecz możliwie proste syntetyczne podanie wiadomości, które potrafiłyby wyjaśnić nawet zagadnienie mocno skomplikowane.

„Fizjognomję nowoczesnego Muzeum możnaby tak określić (prof. J. Czochralski): „muzeum nowoczesne powinno objawiać umiarkowanie co do ilości okazów i wystawiać tylko wartościowe eksponaty i zabytki, działać na widza pobudzająco przez atmosferę ideową, stosowne ustawienie i rzeczowy podział, jak również przez celowe objaśnienia, a przedewszystkiem wyrazistość przy jednoczesnem unikaniu przeciążających opisów; krótko mówiąc — powinno być miejscem natchnienia". Słowa te w zupełności odnoszą się do najwspanialszego Muzeum Technicznego Niemieckiego w Mona-

Na lewo: Eksponaty z działu elektrotechniki w Muzeum Przemysłu i Techniki w Warszawie.

Na prawo: Ogólny widok niemieckiego Muzeum w Monachjum, będącego niemiecką świątynią techniki.



przeniesione do nowego, wielkiego gmachu. Muzeum to kształci społeczeństwo pod względem technicznym i wpaja w nie przekonanie o znaczeniu techniki dla gospodarstwa narodowego. Budżet roczny londyńskiego Muzeum wynosi tylko... 2,000.000 zł!!!

„Niemieckie Muzeum" w Monachjum — jest chlubą Niemiec, powstało ono dzięki wysiłkom całego społeczeństwa, kosztowało miljony; a i obecnie roczny budżet eksploatacyjny wynosi zgórą miljon marek. Liczy ono 35 lat, lecz dopiero 13 lat temu zostało przeniesione do nowozbudowanego, imponującego budynku, sąsiadującego z ogromną bibljoteką, zawierającą bezcenne skarby i mieszczącą szereg sal odczytowych, zaopatrzonych w najnowocześniejsze urządzenia do wyświetlania filmów dźwiękowych i wszelkich eksperymentów.

Piękne Muzeum monachijskie, którego dalszy rozwój nie ustępuje, ani na chwilę (obecnie buduje się gmach specjalny dla Działu Samochodowego, kosztem dotacji rządu Rzeszy w kwocie 800 tys. marek), posiada 66.000 objektów, rozmieszczonych w 340 salach o łącznej długości 15 km.

Bogactwa Muzeum i sposób urządzenia — wzbudza na każdym kroku zachwyt. Specjalną korzyść i przyjemność odnosi zwiedzający, mogąc cały szereg przyrządów i maszyn puścić w ruch (co oczywiście podnosi koszty utrzymania). Intencja twórców Muzeum, by w sposób poglądowy i doświadczalny — uczyć jak najszersze warstwy, została w pełni zrealizowaną. Nie sposób na tem miejscu wyliczyć choćby najważniejsze działy i najciekawsze eksponaty, ograniczmy się więc tylko do wymienienia, że cały szereg modeli jest naturalnej wielkości (przekrój Komory soli w Wieliczce w XVIII w., urządzenia na statku), a mnogość objektów historycznych daje namacalny przykład postępu (Dział lotnictwa, pojazdów, przyrządów tkackich i innych). Aparaty telewizyjne, które w cywilizacyjnym pochodzie nie dotarły jeszcze do nas, już od 6 lat są zainstalowane w Niemieckiem Muzeum. Wprawdzie jeszcze nie te ostatniej konstrukcji, lecz też nie te pierwsze z roku 1880... Każdy też może dokonać swego telewizyjnego zdjęcia, co w sąsiedniej kabinie jest odrazu na ekranie demonstrowane; można też prześwietlić zapomocą promieni Röntgena portfel, lub... rękę, a w Planetarjum Ptolomeusza, gdzie na ekranie kopuły błyszczą gwiazdy, na ciemnem niebie — można nauczyć się zarysu astronomji w ciągu... pół godziny... Projekcyjne planetarjum pokazuje skomplikowane poruszenia ciał niebieskich, takiemi, jakie widzimy je z ziemi, lecz w przyspieszonem tempie. Przy jednoczesnem objaśnianiu demonstrowane są zmiany wyglądu nieba w zależności od pór doby i pór roku.

To wspaniałe Muzeum, w którem każdy laik może uzupełnić swe wykształcenie w sposób jak najprzystępniejszy, jest odwiedzane przez zgórą pół miljona osób rocznie, w tem 67 proc. stanowią przejezdni.

Po dłuższem zatrzymaniu się przy Muzeum Niemieckiem, które stanowi klasyczny przykład dla pozostałych, wymienić jeszcze należy: dwa Muzea w Pradze Czeskiej, jedno techniczne w stadjum tworzenia, a drugie doskonale zorganizowane dydaktycznie i wizualnie Muzeum Inżynierji Rolnej, dalej świetnie obmyślone i wykonane Niemieckie Muzeum Higjeny w Dreźnie, którego przewodnią ideą jest założenie, że przez osobistą higjenę poszczególnych obywateli naród może osiągnąć wyższe szczeble rozwoju. Do najciekawszych modeli tego Muzeum należy „szklany człowiek", w którym wyzyskano efekty świetlne w celu kolejnego oświetlenia poszczególnych organów i wyjaśnienia ich działania. Wreszcie istnieją jeszcze muzea o charakterze technicznym, lecz już specjalne, a nie ogólne, np. w Düsseldorfie, interesujące ze względu na zmienność wystaw, które nie trwają długo, a obracają się w sferze: historji pracy i jej bezpieczeństwa, korzyści normalizacji itp.

Ogółem w Polsce istnieje 18 muzeów o charakterze technicznym, z tego 15 w Warszawie. To, które stanowi główny trzon i które po wybudowaniu własnego gmachu skomasuje najważniejsze zbiory, to Muzeum Przemysłu i Techniki, mieszczące się tymczasem „kątem" w budynku Tow. Pop. przem. ludowego przy ul. Tamka i w dawnym gmachu przy ul. Krakowskie Przedmieście 66. Reszta muzeów warszawskich obejmuje tylko po jednej gałęzi techniki, jak Muzeum Kolejowe, Poczt i Telegrafów, Państw. Szkoły Higjeny, miejskie Wodociągów i Kanalizacji, a dalej zbiory: Głównego Urzędu Miar, Instytutu Fizycznego, Filmowego itd.



Muzeum Sztuki i Rzemiosła w Paryżu posiada ciekawy okaz samolotu wybudowanego w ostatnich latach XIX wieku. Samolot ten posiada dwa motory parowe o sile 20 HP każdy, i zaopatrzony jest w generator i kondenzator parowy.

Muzeum Przemysłu i Techniki, którego lata niemowlęce sięgają 1924 r., powstało częściowo ze zbiorów Muzeum Przemysłu Wojennego, a uroczyste otwarcie jego nastąpiło w 1933 r. w obecności P. Prez. prof. I. Mościckiego. Odtąd Muzeum to organizowane z rozmachem zaczyna promieniować coraz intensywniej, a urok jego polega na umiejętnem kojarzeniu wartości historycznych z potrzebami i zagadnieniami najbardziej aktualnemi dla naszej polskiej rzeczywistości.

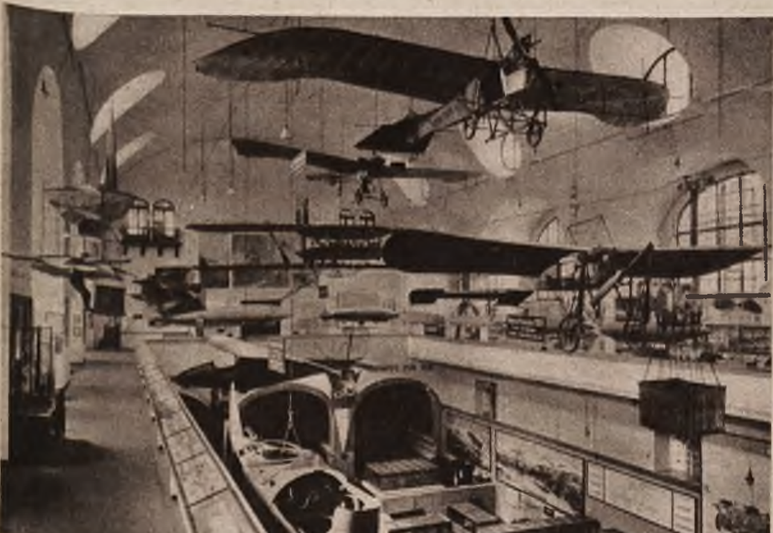
Muzeum nasze należy otoczyć jak najżyczliwszą opieką zarówno rządu jak i całego społeczeństwa, by mogło się stać żywym pomnikiem mocarstwowej Polski. Zawdzięczając zasiłkom rządowym, dotacjom różnych instytucyj, dobrej woli niektórych ludzi, z nieocenionym organizatorem dyrektorem inż. K. Jackowskim na czele — Muzeum nasze rozwija się i już dziś stanowi poważną placówkę. Lecz siła jeszcze roboty przed nami! Same porównanie danych budżetowych jest najlepszym dowodem, jak bardzo stoimy w tyle za innemi państwami. Gdy budżety innych, już wspaniale uposażonych Muzeów, obracają się w ramach miljonowych sum, u nas na ten cel przeznaczone jest koło 200 tys. zł....

Obecnie Muzeum Przemysłu i Techniki obejmuje 15 działów. Szczupłość pomieszczenia jak i zasady nowoczesnej muzeologji każą jak najrzadziej posługiwać się oryginalnemi maszynami, w skali 1:1, dlatego też organizacja naszego Muzeum szła po linji przedstawienia przedewszystkiem syntezy techniki.

W tym celu służą małe modele, jak również plastyczne fotomontaże, t. j. kombinacja odpowiedniego tła barwnego, szeregu uwypuklonych fotosów, pewnej ilości produktów w naturze, przytwierdzonych na tablicy oraz ewentualnie kilka lapidarnych cyfr statystycznych. Całość takiego fotomontażu daje widzowi możność zrozumienia w formie uproszczonej takiego lub innego przebiegu technologicznego, bez zbytnich wysiłków i dociekań.

Muzeum Przemysłu i Techniki — wypełnia świetnie swe założenia, otwierając coraz to nowe działy, jak ostatnio Dział Metrologji, lecz jak mówi przysłowie: „Z pustego i sam Salomon nie naleje" — to też bez pomocy i zrozumienia ważkości idei wielkiego Muzeum technicznego — przez całe społeczeństwo zdanie tego egzaminu, jaki stawia przed nami życie i przyszłość, jest niezwykle trudne.

Mgr. K. Dienstl-Kaczyńska.



Dział lotnictwa mieszczący zabytkowe samoloty oraz modele balonów i zeppelinów w niemieckiem Muzeum w Monachjum.



Fragment przekroju budującego się tunelu kolejowego w Warszawie, stanowi jeden z eksponatów Muzeum Kolejowego w Warszawie.

LUDWIK MASCHOFF

Późna zemsta

NOWELA

Przed najelegantszym lokalem nocnym w Berlinie stał długi szereg taksówek. Zjeżdżały się tam zwykle dopiero około północy. Ostatni goście opuszczali lokal niekiedy o piątej nad ranem.

Przez uchylone szyby okien przedzierały się na ulicę dźwięki jazz'u. Melodji nie można było rozróżnić. Słyszało się tylko rytmiczne tłuczenie się bębna i czynel, które cicho dźwięczały wśród murów zasypiającej ulicy.

Z wieży pobliskiego kościoła rozległo się wydzwanianie dwunastej godziny. Ulica pustoszała, cichła. Coraz rzadziej przejeżdżały tramwaje, powoli wlokły się omnibusy nocne... Tylko przez uchylone okna lokalu przedzierało się rytmiczne tłuczenie się bębna i czynel.

Nagle wybiegł z lokalu portjer, otworzył szeroko drzwi auta, zawołał na szofera — i stanął w pozycji wyczekującej. W chwilę później wyszła wytwornie ubrana para. Kobieta, znana piękność, miała narzucony na fantastyczną suknię wieczorową ●pe z sobolich futerek, mężczyzna był we fraku z niedbale przerzuconym przez ramię płaszczem wieczorowym. Wsiadając, wsunął napiwek do ręki portjera. Zatrzaśnięcie drzwi — auto ruszyło.

W tej samej chwili z bramy sąsiadującego domu wybiegł mężczyzna. Momentalnie wskoczył do następnej taksówki. — Jechać za autem przed nami — powiedział krótko. Zawarczał motor... Dwa auta pędziły przez długą aleję.

— Ciekawy pasażer — pomyślał szofer — prawdopodobnie obserwuje ich na czyjeś zlecenie. — Mimowoli spojrzał do lusterka. Ujrzał w niem swego gościa wspierającego łokcie na kolanach, pochylającego przytem swą postać naprzód, a spojrzeniem skierowanem na mknące przed nimi auto i skupionym wyrazem twarzy, zdawał się przyspieszać tempo motoru. Jego ruchy zdradzały silne zdenerwowanie. Drżała mu ręka, gdy wyjmował papierosa i zużył kilka zapałek odrzucając je połamane, zanim go zapalił.

— Prędzej — prędzej — naglił szofera — żebyśmy ich tylko nie stracili z oczu.

— Niema najmniejszej obawy — odpowiedział szofer — a choćbyśmy ich nawet zgubili, to zawiozę pana tam, dokąd oni zdążają.

— Pan zdaje się, musiał ich już częściej odwozić, skoro zna ich adres.

— Tylko jeden jedyny raz — odpowiedział szofer— ale jazda ta, — dodał po kilkusenkundowej przerwie, — była najstraszniejszą, jaką miałem w życiu. Myślałem wtedy, że... Ach, niema o czem mówić.

Przez jakiś czas pędzili, nie zamieniając słowa ze sobą. Byli na peryferjach.

— Widzi pan na końcu drogi tę willę z oświetlonem oknem na pierwszem piętrze? Tam jadą.

Gdy byli już w pobliżu willi, widzieli wchodzącą parę do wnętrza i zawracającą taksówkę.

— Niech pan jedzie dalej — zawołał pasażer — aby się nie domyślili, że jesteśmy na ich tropie.

Po przeszło stu metrach szofer skręcił wszystkie światła i stanął. Byli jakby w szczerem polu. Gdzieś stała znowu jakaś willa...

— Za półtora do dwóch godzin wyjdą, — odezwał się szofer — wezmą znowu taksówkę, on odwiezie ją do jej mieszkania, a sam wróci do willi. Chce pan tak długo czekać? Bo co do mnie, to opłaca się mi zrobić tę turę. O drugiej w nocy zarobić dziesięć marek...

— Zaczekam. Przedewszystkiem zapłacę za moją jazdę. Papierosów mam dość, więc czas nie będzie się nam dłużył.

Wyjął z kieszeni kilka srebrnych monet i wręczył je szoferowi, nie przyjmując reszty. — To będzie za czas czekania — powiedział. — Pan Rosjanin — odezwał się, podając mu otwartą papierośnicę — poznałem to już przedtem po akcencie.

— Tego się nigdy nie wyzbędziemy. A pan przecież również Rosjanin.

— Emigrant — odpowiedział pasażer, podając szoferowi płonącą zapałkę. — Wiecie, (zaczął mówić po rosyjsku) mnie zaciekawia wasza znajomość życia tych dwojga. Powiedzieliście przedtem, że tylko jedyny raz odwieźliście ich do domu i tak wam ten adres utkwił w pamięci? Przy tylu turach, które dziennie robicie?... Szczególne zainteresowanie.

— Trudno byłoby mi adres ten zapomnieć, zwłaszcza, że dotyczy on kobiety, przez którą właśnie stałem się szoferem na taksówce.

— O, to ciekawe.

— Ciekawe może to być dla każdego, kto rego to bezpośrednio nie dotyczy. Romantyczna historja, która się prozaicznie skończyła. Ja zeszedłem na taksówkę, a ona została kochanką bogatego fabrykanta. To wszystko. Nigdy nie przypuszczałem, że sprawa ta weźmie taki obrót. Ale, gdy kobieta oczaruje człowieka swą pięknością, a on w bezgranicznej miłości do niej, zatraci panowanie nad sobą i swym rozsądkiem i stanie się wkońcu bezwolnem stworzeniem, ulegającem jej kaprysom, to innego zakończenia tej romantycznej historji nie można się spodziewać.

W ciemnem aucie zatliły dwa ogniki żarzących się papierosów. W pobliżu zaszumiały liście drzew, a nad poszarpanemi chmurami toczył się kulisty księżyc, osrebrzając ich krańce jasnemi wstęgami. — Będzie burza — odezwał się szofer.

— Więc pan zna tę kobietę? — zapytał z pozorną obojętnością pasażer.

— Zna? Zbyt dobrze. Aleksandra Pawłowna Bielnikowa była moją kochanką. Jak to nieprawdopodobnie brzmi. Szofer i ta znana piękność na bruku berlińskim. Ha, ha, — zaśmiał się gorzko, — wtedy nie byłem jeszcze szoferem. Wtedy znała mnie Aleksandra Pawłowna jako rotmistrza gwardji piątego pułku. To było w roku... Zaczekajcie, opowiem wam od początku. Gdy przyszedł przewrót bolszewicki, gdy zaczęto mordować i grabić, wierny stary służący ostrzegł mnie. Uciekłem w nocy w przebraniu robotnika. Wziąłem kilkaset dolarów, które znalazłem pod ręką, biżuterję familijną, rewolwer do kieszeni i poszedłem. Rodzina nasza bawiła na Krymie. Nie mam pojęcia, co się z nią stało. Żyją? Zginęli?... — Machnął ręką. — Z biegiem czasu człowiek pogodził się już z myślą... Uciekać, uważacie, trzeba było gdzieś, gdzie mnie nie znano. Po miesiącach dostałem się do Odesy. Pracowałem w fabryce konserw. Początkowo czyściłem śledzie, potem... To nie takie ważne. Przetrwałem rok. Miałem poświadczenie, że jestem członkiem partji, żyło się na pozór legalnie. Razu pewnego zawinął do portu statek francuski. Przyjechał po towar. Ładowaliśmy skrzynie z konserwami. Zrodził się plan — zaryzykowałem. Pokazałem maszyniście pięćdziesiąt dolarów. Zrozumiał. — Ukrył mnie w swojej kajucie — statek odpłynął. W dwa miesiące później wysiadłem we Francji. Aresztowanie — paszport nansenowski — przyjechałem do Berlina. Inflacja. Życie było tu najtańsze. Miałem jeszcze dolary i miałem osiemdziesiąt karatów brylantów. Wiecie, co to był za majątek? Chciałem stworzyć sobie jakąś egzystencję. Założyć rosyjską restaurację, może przystąpić do jakiegoś przedsiębiorstwa... Mijały miesiące, a ja na nic się nie zdecydowałem. Czasy były niepewne. Za dolara płacono miljony, miljardy, biljony... Nie spieszyło mi się. Żyło się prawie że za darmo. Do czego się spieszyć? Miałem dolary i miałem brylanty. Mogłem pokupować domy, wille, pałace... Poco? Martwy kapitał. Za czynsz płacono bezwartościowemi miljonami. Żyłem sam skromnie... W tym czasie bywałem często w pewnym klubie. Przychodziłem z nudów. Szukałem towarzystwa. Szukałem ludzi, aby się móc wypowiedzieć. Tak nam wtedy wszystkim było ciężko na duszy... — Dajcie jeszcze papierosa — odezwał się, przerywając swe opowiadanie — człowiek wspomina dawne czasy i tylko nerwy targa.

Znowu zatliły w ciemnem aucie dwa ogniki, zakreślając od czasu do czasu łukowe linje w powietrzu.

— I co dalej? — zapytał pasażer.

— Co dalej? Przyszło tak, jak prawdopodobnie przyjść musiało. Wszystko w życiu zależy od przypadków. Pewnie i to, że w klubie tym poznałem Aleksandrę Pawłownę. Wieczoru tego nie miałem zamiaru iść do klubu. Byłem już w pobliżu mojego mieszkania, gdy uświadomiłem sobie, że mnie tam nic nie czeka prócz samotności. Samotność, w której żyłem, pożerała mnie. Bałem się jej. Wróciłem do klubu. Stanąłem przy stole, gdzie grano w baccarata. Po jednej i drugiej stronie stało mnóstwo osób. Obaj partnerzy byli dobrzy gracze. Partja była interesująca. Nie zwracałem jednak na to uwagi. Bawiło mnie rozgorączkowanie się obecnych. To mi wystarczało. Nagle usłyszałem, jak ktoś obok mnie powiedział: — Gdybym miała trochę pieniędzy, to bym dostawiła. — Spojrzałem na mówiącą...

Wtedy po raz pierwszy ujrzałem Aleksandrę Pawłowną. Nie szukałem tej znajomości, gdyż jej jeszcze nigdy nie widziałem. „Gdybym miała trochę pieniędzy..." Cóż za wartość miały wtedy pieniądze? Za dolara dawano stosy banknotów. Posiadałem setki dolarów. Sięgnąłem do kieszeni i podałem jej plik banknotów. Wartość — może pół dolara, może więcej lub mniej, to przecież nie odgrywa roli. Popatrzyła na mnie, zawahała się sekundę, ale wzięła. Widziałem, z jaką namiętnością rzuciła pieniądze na stół. Nie powiedziała nawet „dziękuję". Nie zależało mi na tem. Sprawić komuś przyjemność takim tanim kosztem, do tego takiej kobiecie... Syciłem się jej pięknością. Wyczuwałem, jak zaczynam ulegać jej czarowi, tracić władzę nad sobą, jak wszystkie moje myśli poczęły się skupiać wokół tej istoty...

Aleksandra przegrała. Popatrzyła na mnie z wyrazem w oczach, jakby szukała za jakiemś usprawiedliwieniem. Uśmiechnąłem się.

— Nie szkodzi — powiedziałem. Sięgnąłem znowu do kieszeni i podałem jej nowy pakiet banknotów. W kilka minut potem i one przepadły.

— Pani nie ma dzisiaj szczęścia — odezwałem się do niej — może byłoby lepiej spróbować innym razem?

— Tak — odpowiedziała — niema sensu tracić pieniądze. Ale kto nie ryzykuje, ten też nie wygrywa.

Powiedziała to tak przekonywująco, z takim ujmującym uśmiechem, że byłem rozbrojony.

— Pani ma rację — odpowiedziałem — wobec tego zaryzykujemy jeszcze raz.

Rzuciłem na stół dolara. Wygraliśmy. W godzinę później przypadało na każdego z nas po dziesięć dolarów wygranej. — Dość, powiedziałem, wstając od stołu.

Dokończenie na str. 24-tej.

U CELU WAKACYJNEJ WYCIECZKI

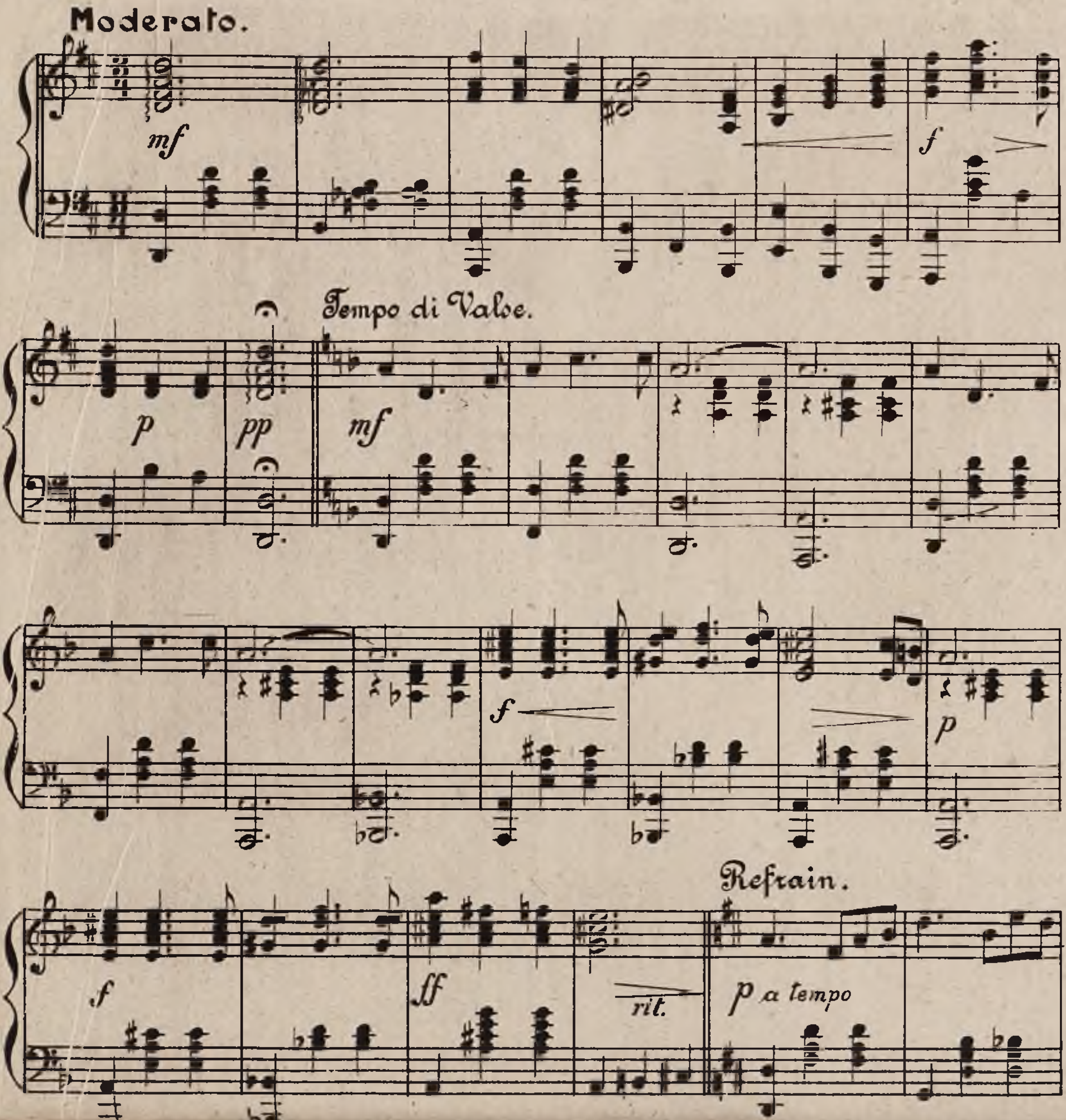


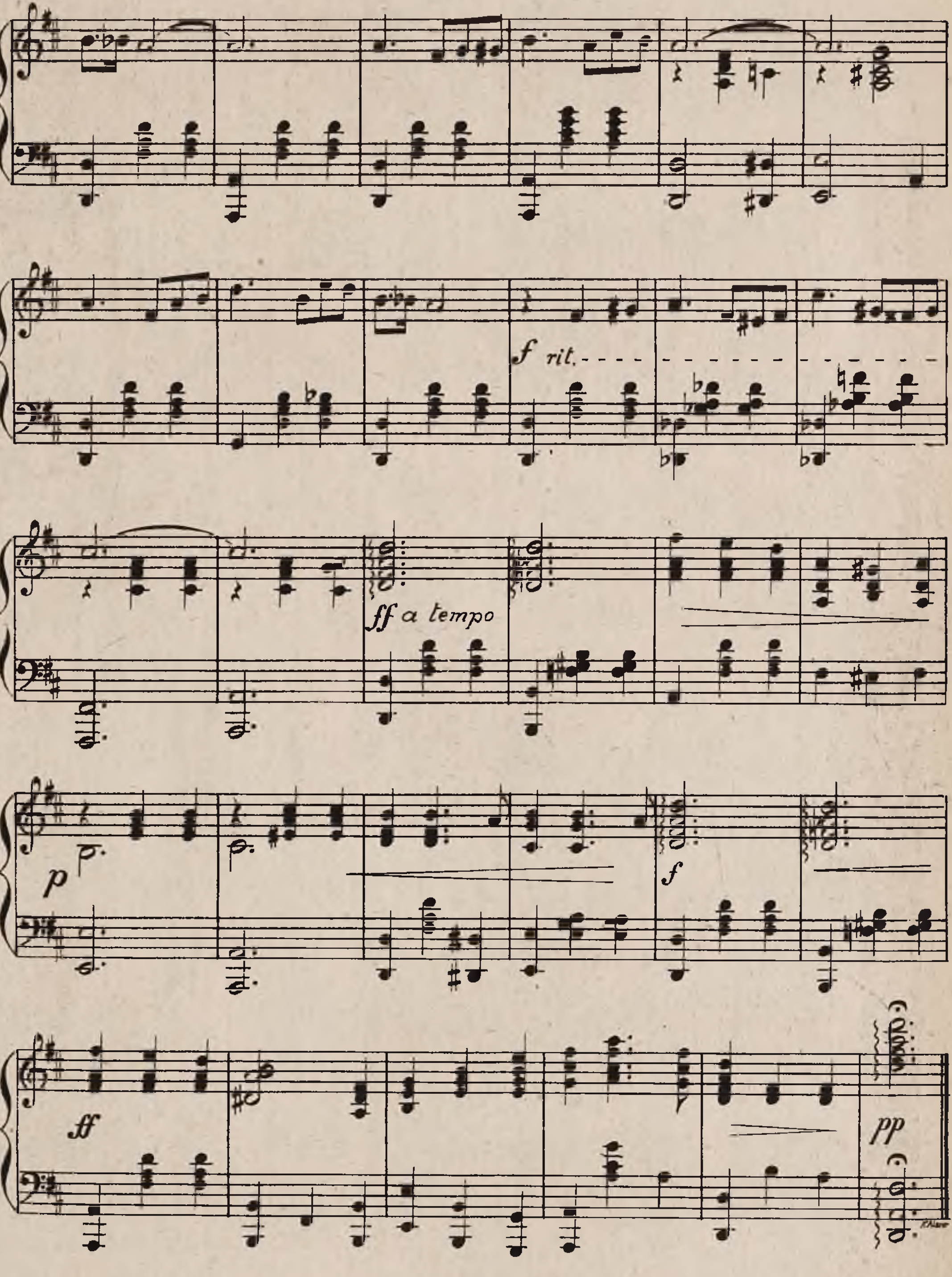
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

Tęsknota

Walc angielski poświęcony Chórowi Dana.

TADEUSZ WASILEWSKI





Życie

TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

LORD DUFF COOPER W JURACIE







Pierwszy lord admiralicji Wielkiej Brytanji Duff Cooper przybył ze świtą na jachcie „Enchantress" do Gdyni. Lord Cooper odwiedził też w towarzystwie ministra Becka Juratę. Na lewo: Lord Cooper zdąża do kąpieli. — Powyżej: W kawiarni nadmorskiej w Juracie siedzą od lewej lord Cooper, min. Beck i hr. Helena Łubieńska. — Na prawo: Małżonka jednego z członków świty lorda Coopera na plaży.

UROCZYSTOŚCI ZARĘCZYNOWE W REZYDENCJI HR. CZARNECKICH W GOGOLEWIE





W ub. tygodniu odbyły się w rezydencji gogolewskiej zaręczyny p. Ireny Bielskiej z Atteczyzny (Polesie) z p. Stanisławem Jędrzejowiczem z Jasionki (Małopolska) przy udziale licznych reprezentantów polskiej arystokracji. Na zdjęciach od lewej: Rezydencja w Gogolewie. — Stanisław hr. Czarnecki ze swą siostrzenicą p. Bielską i jej narzeczonym p. Jędrzejowiczem.

„KŁOPOTY BOURRACHONA"



W granej obecnie na scenie Teatru Letniego w Warszawie komedji Doilleta „Kłopoty Bourrachona" stwarza kapitalną kreację w roli prof. Bruneau p. Kazimierz Szubert, bawiący na gościnnych występach w stolicy.

WYWCZASY HELENY GROSSÓWNY



Wśród wybitnych artystów polskiego teatru i filmu, którzy w tym roku odwiedzili nasze wybrzeże, znalazła się i p. Helena Grossówna. Widzimy ją na zdjęciu w otoczeniu red. A. Szenajcha i red. J. Hauptmana w chwili, gdy po zwycięstwie w konkursie pływackim „ląduje" na ramionach towarzyszy na plaży w Juracie.

GIGA POSCHÓWNA W „GEJSZY"



Operetka poznańska objeżdża większe miasta Polski, wystawiając romantyczną „Gejszę" Jonesa. W tytułowej partji występuje utalentowana śpiewaczka p. Giga Poschówna, którą widzimy na powyższem zdjęciu.

Dokończenie ze str. 20-tej.

— Co pani zrobi z temi pieniędzmi? — spytałem. — Za nie można w Berlinie dużo kupić.

— Kupię sobie suknię i nowe buciki — odpowiedziała z taką prostotą i z takiem samo przez się zrozumieniem, jakby pieniędzy tych nie można było prakyczniej zużyć.

Zdziwiła mnie jednak ta odpowiedź, gdyż Aleksandra nie była tak ubrana, aby nowa sukienka i nowe bucki były bezwarunkowo konieczne. Właściwie, gdybym był lepszym psychologiem, toby słowa jej były dla mnie przestrogą. Ale ja w owej chwili byłem już zakochany. A czego nie wybacza się tej, którą się kocha?...

— Na wszelki wypadek — zrobił uwagę pasażer — to się romantycznie zaczęło.

— To romantyczne przyszło dopiero później. Ale powoli. Nie wyprzedzajmy faktów. Zaproponowałem jej pójście do jakiegoś lokalu. Zgodziła się. Weszliśmy do malej kawiarenki. Nie było wiele osób, mogliśmy zatem swobodnie rozmawiać. Aleksandra zaczęła opowiadać o sobie, o swem dzieciństwie, o zamążpójściu, o mężu, którego nie kochała, który bezpodstawnie zadręczał ją scenami zazdrości, o jej nieszczęśliwem życiu... A ja patrzyłem na nią i poiłem się jej pięknością.

— Jakżeż byłbym szczęśliwy — myślałem — gdyby kobieta ta była moją kobietą, gdybym mógł jej dać to szczęście, za którem ona tęskni. Kto nie ryzykuje, ten też nie wygrywa, przypomniały się mi jej słowa. Możeby zaryzykować? Zaryzykowałem i wygrałem. Ale ta wygrana stała się moją ruiną. Posłuchajcie dalej. Przy pożegnaniu, bardzo się spieszyła do domu, gdyż jej mąż miał jakieś zajęcie do późnej nocy, a chciała być w domu przed jego przyjściem, a więc przy pożegnaniu, zaproponowałem jej spotkanie następnego dnia w klubie.

Przyszła. Potem poszliśmy do naszej kawiarenki. Spotkaliśmy się tak trzy, może cztery razy. Wyznałem jej swą miłość, ona dała mi do zrozumienia, że jestem jej sympatyczny. Nigdy nie powiedziała „kocham cię". Jakby wypowiedzenie tego słowa sprawiało jej trudność. A ja tak na to nalegałem. — Cóż, puste słowa! — odpowiedziała, czyż nie milsze są ci dowody? Jutro wieczorem przyjdę do ciebie.

— Uwierzy pan, że o mało nie oszalałem z radości? Taka kobieta, takie bóstwo piękności przyjdzie do mnie!

— Wierzę, wierzę, odpowiedział pasażer, podając mu papierośnicę, — palcie. Więc ona przyszła do was? — zapytał.

— Tak. I przychodziła codziennie. Przeżyłem najpiękniejszy okres mego życia, ale i najkosztowniejszy. Spełniałem wszystkie jej życzenia, najbardziej nieuzasadnione kaprysy, najfantastyczniejsze zachcianki. Nie miałem dość woli, aby się jej sprzeciwić, nie miałem odwagi, aby jej wytłumaczyć nonsensowość tych kaprysów.

Musiałem wynająć jej małe mieszkanko, w którem przebywała będąc poza domem i w którym przechowywała swoje rzeczy, nie chcąc wzbudzić podejrzenia męża. Miała teraz suknie, tualety, futra, pierścienie... Moje dolary dawno już poszły, a brylanty stopniały. Jeden po drugim szedł do jubilera na spieniężenie. Dla mojej Szurki, dla mojej kochanej, rozkosznej Szurinki. Dawno już opuściła męża, przeniosła się do naszego mieszkanka i żyliśmy tylko dla siebie. O stworzeniu sobie egzystencji, mowy być nie mogło. Za mało już zostało, aby coś stworzyć. Szura grała namiętnie w klubie. Nie broniłem jej. Skoro sprawiało jej to przyjemność... — Przegrywała pokaźne sumy, a ja musiałem się troszczyć o nowe pieniądze. Widziałem zbliżającą się ruinę, ale co?... Żyłem tylko upojeniem szczęścia. Bez zastanowienia się, co dalej będzie. I przyszedł wreszcie dzień, w którym przekonałem się, że prócz ostatniego brylanta, nic więcej nie posiadam. Kamień ten był długi czas w naszej rodzinie. Przechodził z matki na córkę. Sześciokaratowy buton. Wiecie — zwrócił się do swego nocnego towarzysza, gdybym był wiedział, jaki charakter ma Szura, gdybym był jeszcze wtedy, w ostatniej chwili przejrzał, oprzytomniał... Za wartość tego kamienia, mógłbym kupić trzy taksówki, mógłbym otworzyć sklepik, mógłbym nic nie robiąc, przynajmniej cztery lata spokojnie żyć.

Szura nalegała, abym kamień ten sprzedał. Po co?— spytałem. — Przekonasz się wieczór, odpowiedziała. Zaniosłem kamień do jubilera. Poszedł za połowę swej wartości. Szurince przyniosłem dolary. Wieczór poszliśmy do klubu. Siadła do stołu i rozpoczęła partję z nim — z tym jej obecnym kochankiem. W pół godziny zabrał jej wszystko. I ją także. Te setki moich dolarów, to był tylko zarzucony haczyk na niego. Dostała je dziesięciokrotnie z powrotem. Skończyły się dla mnie romantyczne czasy i zaczęła szara proza. Gdy zostałem bez grosza, Szura do mnie więcej nie przyszła. A gdy głodny i zrozpaczony poszedłem do niej, nie chciała mnie wpuścić. Czynsz za jej mieszkanie płacił już ten nowy... Mój następca.

— Genrich Adamowicz Wołkow, wtrącił pasażer.

— A, to wy go znacie?

— Z nazwiska tylko. Mam z nim pewien porachunek... Chciałem to właśnie dzisiaj w nocy załatwić, a nie sądziłem że przy tej sposobności... Wiecie co, mówił w dalszym ciągu, zmieniając temat, Aleksandra Pawłowna nie była dawniej taka. Może ją zmieniło tylko pożycie z wami. Ta wasza uległość, słaba wola... No trudno, już jej teraz nie zmienicie. Ale co ja to chciałem powiedzieć... Aha! Wspomnieliście przedtem, żeście raz odwozili Aleksandrę...

— Tak, to było sześć miesięcy po naszem rozstaniu się. Wołkow zabrał Szurę i wyjechał z nią do Włoch. A ja?... To, co wtedy cierpiałem, trudno słowami określić. Co dużo mówić! Człowiek, to największy tchórz z żyjących istot. Boi się życia, a jeszcze w większej mierze boi się śmierci. I zamiast zrobić z sobą koniec, widząc beznadziejność swego położenia, imałem się szoferki. I teraz człowiek obija się całą noc za te kilka marek, aby żyć. Czy można to nazwać życiem? Tak z dnia na dzień, z dnia na dzień... Stałem raz, jak dzisiaj przed lokalem, o Szurze nie myślałem już więcej, powoli przechodziła w zapomnienie, zdawało się, że czas wyleczył rany, a tu otwierają się drzwi lokalu i kto wsiada do mojego wozu? Szura z Wołkowem. Nie poznała mnie. Noce były jeszcze chłodne. Podniesiony kołnierz płaszcza, nasunięta czapka na oczy... Wołkow kazał jechać do swojej willi. Pojmiecie, co się wówczas we mnie działo? W jednej chwili odżyło wszystko. Moja miłość, tęsknota, nienawiść... I wiedzieć, że się tą ukochaną kobietę wiezie do mieszkania jej kochanka! Ręce mi drżały, że nie mogłem kierownicy utrzymać. Przyszła mi myśl, aby wziąć tempo tak na sto kilometrów, wjechać na jakiś maszt, rozbić wóz, zabić siebie — ich... Kazał mi czekać przed willą. Czekać i wiedzieć, że właśnie teraz, w tym czasie... Potem odwiozłem ich do jej mieszkania, jego z powrotem do willi. Zapłacił, dał napiwek... Pojmiecie to uczucie?... Kilka razy odwozili ich później koledzy. Rosjanie... Zawsze to samo. Naprzód do niego, a w półtora do dwóch godzin później do niej.

Spojrzał na zegarek.

— Włączę światła — powiedział, — pewnie wnet wyjdą, to niech widzą, że tu stoi wolna taksówka. Przynajmniej darmo nie czekałem cały czas.

— Ja również. Chciałem się obliczyć z Wołkowem, a nie przypuszczałem, że przy tej sposobności obliczę się i z wami Dimitri Arbatunow.

— A wy skąd mnie znacie?

— Dwa lata was szukałem i tak niespodzianie zeszliśmy się tej nocy. Po dwóch latach szukania. Teraz wiedzcie Dimitri Arbatunow, Aleksandra Pawłowna jest moją żoną.

— Waszą?

Nie dokończył zdania. Padł strzał... Kule tego kalibru biją śmiertelnie. Ugodzony w głowę. usunął się szofer na kierownicę...

Bielnikow wysiadł z auta. Stanął w zupełnym cieniu pod drzewem. Niebo pokryło się chmurami, za niemi znikł księżyc. Była czarna noc. Tylko latarnie auta świeciły, jak dwoje smoczych oczu...

Bielnikow czekał. Niedługo. Zajaśniała brama willi. W chwilę później wyszli na jezdnię. Wołkow dawał znak ręką w stronę taksówki.

— Wolna jest — odezwał się do Aleksandry — pewnie szofer zasnął. Chodźmy.

Gdy się zbliżyli do auta i Wołkow ujął za klamkę drzwi, usłyszeli głos:

— Chwileczkę Genrich Adamowicz Wołkow. Tak długo na was czekałem. Chciałbym załatwić pewną sprawę...

Aleksandra zdrętwiała. Poznała głos mówiącego. Silnie przycisnęła ramię kochanka.

Głośno szumiące liście drzew zagłuszyły w wichrze huk padających strzałów...

W SENNE POŁUDNIE...


O
40

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZIMNA ZUPA POMIDOROWA. 25 dkg pomidorów rozgotowuje się i przeciera przez sito. Wystudzoną masę rozciera się z 4 łyżkami kwaśnej śmietany, szczyptą soli i cukru, poczem dolewa się trzy filiżanki wystudzonego rosołu wołowego, z którego tłuszcz został dokładnie zebrany. Zupę podaje się w filiżankach, zastudzoną na lodzie. Osobno groszek ptysiowy lub grzybek smażony i pokrajany w kostkę.

KALAFJOR WYSMAŻANY W OMLETACH. Małą bułeczkę, okrojoną ze skórki, moczy się w szklance mleka i przeciera przez sito. 3 żółtka uciera się z łyżeczką masła i łączy z przetartą masą bułczaną oraz ugotowanym, niezbyt dużym kalafjorem, dobrze osączonym z wody i drobno posiekanym. Wkońcu dodaje się pianę ubitą z 3—4 białek i miesza ją lekko z całą masą. Na rozpalone masło kładzie się łyżką potrosze masy, rozpościera na cienkie, małe omlety i osmaża na rumiano z obu stron. Omleciki posypuje się parmezanem lub siekaną szynką, zwija i podaje jak przystawkę same, albo z sosem śmietanowym lub pomidorowym.

POMIDORY FASZEROWANE MÓŻDŻKIEM. Dwa móżdżki cielęce parzy się wrzątkiem i obiera z żyłek i błon, następnie rozdrabnia się je i smaży na łyżce masła z troszką siekanej cebulki, dodaj szczyptę soli i pieprzu i nakłada masę tę do wydrążonych surowych pomidorów, które się następnie ustawia ciasno w rynce na podłożonem maśle, przykrywa i wstawia do gorącego piecyka na 20 minut. Pomidory wykłada się następnie na środek półmiska, otacza ryżem lub makaronem i polewa rumianem masłem.

PSTRĄGI W SOSIE RAKOWYM. Kilka raków gotuje się w słonej wodzie, ugotowane rozbiera, mięso z szyjek i szczypców odkłada się do dalszego użytku. Potłuczone skorupki dusi się z łyżką masła przez chwilę, następnie zalewa paru łyżkami wody, przecedza i zastudza. Osiadłe z wierzchu masło zbiera się, zagniata z łyżeczką mąki, następnie rozprowadza z rosołem i zagotowuje. Sos ten niezbyt gęsty, doprawia się szczyptą cukru, solą i sokiem cytrynowym. Osobno gotuje się w słonej wodzie zakwaszonej łyżką octu kilka małych pstrągów, poprzednio zwiniętych w krążek przy pomocy drewienka lub łyczka. Pstrągi pozostawia się po ugotowaniu w rosole, w którym się gotowały, aż do ostudzenia, poczem osącza się je na sicie, układa na półmisku i pokrywa powyżej podanym sosem rakowym. Potrawę podaje się na zimno dobrze zastudzoną.

RESZTKI DROBIU „FRICASSEE". Mięso z pozostałego duszonego lub pieczonego drobiu, kraje się drobno i odstawia przykryte. Kostki rąbie się w kawałki, zalewa się troszką wody, wygotowuje i uzyskany stąd rosół ostudza. Z łyżką masła i mąki zasmaża się razem, zagotowuje i podprawia żółtkiem, roztartem z łyżeczką masła deserowego solą i pieprzem. Do sosu tego wkłada się odstawione mięso wraz z pokrajaną również duszoną wątróbką. Wszystko razem podgrzewa się szybko na ogniu, nie gotując potrawy więcej. Ragont podaje się z knedlem bułkowym, t. zw. serwatkowym, pokrajanym w plastry.

LEGOMINA Z MORELAMI. 10 dkg świeżego masła uciera się na pianę, dodaje 3 żółtka (w zwykły sposób po jednemu wśród ciągłego ucierania) oraz 15 dkg cukru. Utartą masę miesza się z pianą z 3 białek i 15 dkg sypkiej mąki. Troszkę skórki cytrynowej dla aromatu. Ciasto wlewa się do natartej masłem tortownicy, pokrywa z wierzchu połówkami moreli, posypuje cukrem zmieszanym z potłuczonemi ziarnkami pestek i piecze przez 40 minut w dobrze ciepłym piecyku. Ciasto powinno się podnieść do podwójnej wysokości — a zależy to od dobrego stopniowania ciepłoty piecyka. Ostudzone w formie ciasto, wyjmuje się na talerz i osypuje cukrem.

MIZERJA Z OGÓRKÓW JAKO KONSERWA NA ZIMĘ. Zupełnie **zdrowe** ogórki obiera się, kraje w plasterki, przelewa na włosianem sicie wrzącą wodą i pozostawia przez 12 godzin, aby dobrze z wody osiąkły. Osobno zagotowuje się **silny** ocet winny z łyżeczką cukru i soli oraz paru ziarnkami pieprzu. Ostudzonym tym octem zalewa się ułożone w słoju ogórki, owiązuje i przechowuje w miejscu suchem i chłodnem. Przed użyciem należy je wyjąć z octu i przyprawić na salaterce zupełnie słabym świeżym roczynem octowym lub sokiem cytrynowym, cukrem i solą wzgl. oliwą. Dla zapewnienia trwałości konserwy przełożyć można płatki ogórków grubo tartym chrzanem, poprzednio po oczyszczeniu do sucha z wody wytartym.

SZYBKA PRZYSTAWKA Z RESZTEK PIECZENI. 25 dkg pieczeni lub mięsa z rosołu kraje się w małą kostkę, tak samo funt ugotowanych ziemniaczków. — Wszystko posypuje się solą i pieprzem, miesza i rzuca na usmażoną na maśle cebulkę, podsmaża przez 5 minut, zalewa czterema łyżkami śmietany rozkłuconej z żółtkiem. miesza na ogniu i wydaje natychmiast. Tę samą masę można podać w sposób elegancki, rozdzieliwszy ją na muszelki, poczem posypane parmezanem i skropione masłem, zapieka się szybko w piecyku. **Sc. Ko.**

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Aby zakonserwować na zimę mieszane jarzyny w marynacie, t. zw. „mied pickles", zastosowujemy następującą metodę:

Krajemy drobno młodą jarzynę i zalewamy każdy gatunek wrzątkiem ze solą, pozostawiając je we wrzątku przez krótki czas. Następnie odcedzamy słoną wodę i zalewamy jarzyny gorącym octem. Co trzeci dzień odlewamy ocet, który zagotowujemy i znowu zalewamy nim jarzyny. Po kilkakrotnie powtarzanym w ten sposób zabiegu odlewamy ostatecznie ocet, który odciągnął smak niedojrzałości jarzyn, wkładamy je do słojów i zalewamy następującym płynem: na 1 litr świeżego octu winnego dajemy 6 g pieprzu, 3 g imbiru, ½ g korzeni, oraz trochę soli. Zagrzewamy tę mieszaninę przed zalaniem jarzyn aż do wrzenia, odcedzamy, ułożone w słoju jarzyny, pokrywamy młodą kukurydzą, wreszcie zalewamy wychłodzonym octem, na wierzch dajemy kilka kropel najlepszej oliwy i zawiązujemy słoje hermetycznie.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 34 — **Sierpień** — 31 dni



NIEDZIELA **14** Euzebiusza	Zupa pomidorowa zimna.Omlety z szynką i kalafiorem. Przepiórki pieczone.Legomina z morelami. Kolacja:Pstrągi w sosie rakowym.
PONIEDZ. **15** Wnieb. NPM.	Chłodnik borówczany z grzankami.Pomidory faszerowane. Polędwica wołowa po angielsku z jarzynkami.Sałatka owocowa. Kolacja:Grzybki z jajami.
WTOREK **16** Jacka	Zupa z szparagówki /może być zimna/.Ragout z podróbek z ryżem.Kotlety cielęce naturalne z marchewką.Jabłka w szlafroku. Kolacja:Bukiet jarzynowy.
ŚRODA **17** Anastazego	Rosół z lanym makaronem.Sztuka mięsa w pomidorach.Kaczka pieczona z jabłkami. Pianka malinowa. Kolacja:Kasza z kefirem.
CZWARTEK **18** Heleny ces.	Zupa jarzynowa puree.Wątróbki gęsie duszone.Zrazy bite zwijane z duszoną kapustą.Placek drożdżowy z owocami. Kolacja:Omlety z grzybkami.
PIĄTEK **19** Bolesława	Barszcz zabielany z twardem jajem.Spaghetti z sosem pomidorowym.Białe ryby smażone z ziemniaczkami.Knedelki parzone z śliwkami. Kolacja:Wędzone ryby bałtyckie.
SOBOTA **20** Stefana kr.	Chłodnik owocowy.Kalafior z masłem.Befsztyk z garniturem z jarzyn.Kompot z jabłek. Kolacja:Jaja w szklance.







Zmywanie twarzy kwaśnem mlekiem rozjaśnia cerę opaloną w słońcu.

Na lewo: Grudka rozgrzanego w palcach masła służy do demaquillage'u.

Na prawo: Kosmetyki witaminowe przyrządza się z uwzględnieniem idealnej czystości.



Poniżej: Zmywanie twarzy cytryną co kilka dni po kwaśnem mleku, przeciwdziała opaleniźnie.



NOWOCZESNA KOSMETYKA

XIII.

Lato

SEZON WITAMINOWYCH KOSMETYKÓW

Kosmetyki witaminowe, podobnie zresztą, jak kosmetyki hormonowe, są obecnie bardzo często w użyciu a medycyna przyznaje tak jednym jak i drugim pierwszorzędne zalety w dziedzinie konserwacji skóry. Kuracje witaminowe mogłyby odegrać bardzo nawet poważną rolę w kosmetyce, gdyby nie to, że przygotowanie ich wymaga czasu i pewnej umiejętności, podczas gdy w każdej choćby drogerji otrzymać można tak tanio rozmaite gotowe kosmetyki. Warto jednak bodaj porę letnich wywczasów wykorzystać dla odbycia specjalnej kuracji kosmetycznej, opartej o specyfiki, pochodzące wprost z łona natury.

Dla rozjaśnienia i wydelikacenia cery, świetnie nadaje się sok z sałaty i ogórków, do którego dodaje się troszkę najlepszej oliwy (z oliwek) i równą mu ilość lanoliny.

Do demakilażu, środkiem bodajże najlepszym, jest sok z marchewki, którą się najpierw kraje w talarki i zwilża spirytusem oraz słodkiem mlekiem. Sok z marchewki można zastąpić z równie dobrym skutkiem sokiem z pomidorów.

Podane przepisy pochodzą z Anglji, gdzie kobiety znane są z pięknej cery i muszą dbać bardziej o jej stan wobec niesprzyjających zmian atmosferycznych. Również w Skandynawji warunki klimatyczne wymagają środków kosmetycznych, wobec złego wpływu ich na skórę na twarzy. Że umiejętność ta jest znaczna, świadczy olśniewająca piękność cery kobiet z tej części Europy. Oto jeden z przepisów, stosowanych przez Szwedki: Ubija się żółtko z równą mu ilością surowego, silnie oziębionego mleka. Masę tę nakłada się na skórę twarzy przy pomocy klepania palcami, poczem po jej przeschnięciu zmywa się ją letnią wodą, do której dodaje się kilka kropel tynktury benzoesowej.

Warto tu przypomnieć jeszcze jeden przepis na środek kosmetyczno-witaminowy. Jest on prowenjencji francuskiej, pochodzi bowiem od Madame Talien. To kąpiel poziomkowo-malinowa, które nadawała jej cerze niezwykły odcień różowy; dzisiejsze panie wolą odcienie brązowawe. Kąpiel poziomkowo-malinową przyrządzano w następujący sposób: 10 kb poziomek rozgniatano z jednym kg malin i rozpuszczano tę masę taką ilością wody, jakiej potrzeba do jednej normalnej kąpieli. Była to istotnie kąpiel godna Lukullusa czy Aspazji.

Ze skromniejszych środków takiej domowej kosmetyki wyliczyć tu należy zwyczajne świeże masło, którem można się doskonale posługiwać przy demakilażu. Aby nie pozostawiało ono swego właściwego mu zapachu, należy po oczyszczeniu skóry przy pomocy waty, zwilżyć ją wodą różaną.

Maska z piany ubitej z białka i posypanej mączką grochową, działa bardzo ściągająco i zapobiega zmarszczkom. Po 20 minutach usuwa się ją przy pomocy letniego mleka.

Nieodzowna w domowem gospodarstwie cytryna, oddaje również znakomite usługi w kosmetyce, zwłaszcza przy pielęgnacji rąk i paznokci. Ćwiartka cytryny przy umywalni, jest już niemalże gwarancją białych delikatnych rąk i nienagannych paznokci.

Raz na tydzień dobrze jest użyć do gruntownego oczyszczenia skóry na twarzy maseczki z żółtka, ubitego z kilkoma kroplami cytryny oraz pól łyżeczką olejku migdałowego. Wysycha ona szybko i ściąga dobrze skórę. Zmywa się ją najlepiej przy pomocy deszczówki lub wody różanej. Przy cerze bardziej tłustej używa się zamiast olejku migdałowego pól łyżeczki koniaku.

Także i sól powinna być włączona do środków kosmetycznych. Jeżeli od czasu do czasu przetrze się solą rozdział pomiędzy włosami na głowie, zyskuje on wtedy wygląd starannej pielęgnacji. A używanie soli na skórę głowy zapobiega tworzeniu się łupieżu. Wystarczy w tym celu posypać głowę od czasu do czasu bardzo miałką solą, którą się wyczesuje następnie szczotką.

Elwira.

UŚMIECHY PLAŻY











Na plażach widzi się nieraz zespoły taneczne, uprawiające z zamiłowaniem gimnastykę rytmiczną na wolnem powietrzu.



Każda plaża francuska wyposażona jest w przeróżne przyrządy gimnastyczne, z których chętnie korzysta młodzież.



Chodzenie po belce wyrabia zmysł równowagi i jest zarazem okazją do wykazania gracji ruchów.



Próba sił z pomocą liny, którą ciągną ku sobie dwa zespoły, należy do ulubionych rozrywek na plaży.

Życie na plaży opromienia uśmiech słońca, w którego gorącem zlocie pulsuje ono w rytm odwiecznej pieśni morza — tak, jak w takt jazzbandu kół pociągu, biegnącego po szynach, płynie życie jego co dnia zmieniających się mieszkańców.

Plaża jest królestwem ludzi wesołych, którzy na złocistym dywanie jej piasków starają upodobnić się do bogów starożytnej Hellady.

Dyktatorem plaży jest słońce. Złote promienie słoneczne nadają życiu na plaży jedyny sens — obronzowienie skóry.

Człowiek na plaży, zwany w języku potocznym Indjan „bladą twarzą", jest czemś niesłychanie nieprzyzwoitem. Białość skóry wśród bronzu i czerni jest czemś wręcz prowokującem.

„Żółtodziób" lub raczej „białodziób", który przyjechał dopiero z miasta i pokazuje na plaży swą bielutką skórę — jest poprostu „shocking".

Człowiek taki czuje na sobie spojrzenia wszystkich ludzi dobrze obronzowanych i radby się pod piasek zapaść. Ma ochotę jak struś włożyć głowę do piasku, by nie widzieć ironicznych spojrzeń sąsiadów, którzy wyciągają z dumą swe opalone od wielu pokoleń ciało. Jest to poprostu „nuworisz" plaży, intruz.

Intruz taki czerwieni się ze wstydu, wybiera najbardziej osłonecznione miejsce i stara się opalić. A gdy po paru dniach schodzi zeń skóra — wydaje mu się, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Był kiedyś modny przebój, zaczynający się od słów: „Dla ciebie chcę być biała". Ten przebój na plaży jest stanowczo nieaktualny. Tu śpiewa się: „Dla ciebie chcę być czarna".

— — — — — — — — — —

Poza opalaniem się — na plaży flirtuje się i kąpie. Aby flirtować, należy znaleźć odpowiedni objekt. Aby się kąpać, trzeba znaleźć miejsce w morzu. Są miejscowości, w których łatwiej jest poflirtować, niż wykąpać się.

Flirt nad morzem do niczego nie zobowiązuje. Ma to swoją bardzo dobrą stronę. Dzięki temu mogą flirtować wszyscy ze wszystkimi.

Po przyjeździe do miasta nie poznajemy przeważnie naszych partnerów z nad morza, gdyż widywaliśmy ich wyłącznie w kostjumach kąpielowych. Przez dziesięć miesięcy spotykamy się z nimi na ulicy, mijamy ich obojętnie, a gdy potem znajdziemy się nad morzem, poznajemy ich po kolorze skóry, znakach szczególnych, znamionach na plecach.

Na plaży oceniamy ludzi według wyglądu ich ciała. Im piękniej jest obronzowione, tem wyżej cenimy jego właściciela.

Potem przez jesień odbywa się odbronzowywanie bohaterów nadmorskich. Bogowie helleńscy siadają przy biurkach bledną, stają się zwykłymi cherlakami, na których nikt nie zwraca uwagi. Lecz gdy nadejdą znowu ciepłe słoneczne dni, wtedy wracają do swego królestwa wody, piasku i słońca. Tam są prawdziwymi bogami.

Scott



Na prawo: Zabawa piłką o takich rozmiarach dostarcza paniom wielu emocyj.

Wszystkie zdjęcia: Paweł Barchan — Paryż.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI

Żelisława Szyszkowska: „Sprawa rozwodowa Ryszarda Montholon" Powieść. Warszawa 1938. Ryszard Montholon, zubożały hrabia, pracujący w jakimś urzędzie w Warszawie, poślubił piękną Idalję Montowt, pochodzącą z rodziny ziemiańskiej. Ale despotyczna siostra Ryszarda nie uznaje małżeństwa z „biuralistką". Więc młodzi małżonkowie muszą ukrywać swój związek przed rodziną. Idalję podbił Ryszard swemi zdolnościami muzycznemi, nastrojową grą na fortepjanie. Te zdolności nie wystarczają dla urządzenia własnego mieszkania (choć obydwoje pracują w jednem biurze). Pod wpływem siostry Ryszard zaczyna podejrzewać Idalję, robi jej sceny zazdrości, aż wkońcu porzuca ją na ulicy w chwili, gdy Idalja straciła swój pokój sublokatorski i znajduje się w dodatku w... odmiennym stanie. Ryszard postanawia przeprowadzić separację. — Autorka zapowiada dalszy ciąg „sprawy" Ryszarda i Idalji.

F. Prokesch: „Azjaci". Renaissance, Warszawa. Ten reportaż podróżniczo-beletrystyczny czyta się gładko i z zajęciem. Autor kreśli tu rodzaj pamiętnika samotnej wyprawy z Turcji przez góry Kaukaskie, Persję, Afganistan do Indyj. Jest to wyprawa najzupełniej „samozwańcza". Bohater „Azjatów" różni się wielce od swych rodaków, Amerykan, sposobem podróżowania: nie używa sleepingu, ani samolotu, lecz przemierza kraje Azji daleko prymitywniejszemi środkami lokomocji.

Ale dzięki temu przeżywa niejedną przygodę, styka się bezpośrednio z ludnością tubylczą. To zetknięcie niezawsze bywa miłe i bezpieczne: przewodnik perski najpierw próbuje zasztyletować swego „klienta", a gdy to się nie udaje, nasyła na niego zbirów... Ale najgorszy był początek podróży: w Turcji bohater opowieści Prokesca dostał się do więzienia wraz z innemi podejrzanemi typami najrozmaitszego pochodzenia.

Co jest motorem jego podróży? Co skłania go do tej wędrówki bez ustalonego planu, pełnej niespodzianek? — Ma on dosyć zachodnio-europejskiej czy amerykańskiej cywilizacji; czuje w sobie jakąś pustkę wewnętrzną, jakąś uprzykrzoną, „okrutną nudę".

— Czy jest pan szczęśliwy? — zapytuje go pewien książę perski w Meszedzie. — „Mam wrażenie, że pan w głębi serca jest Azjatą: „Prawdziwy Azjata nie jest nigdy szczęśliwy. Bo nie pragnie niczego, co można widzieć i czego można dotknąć. Nie oczekuje niczego od życia, bez względu na to, czy jest muzulmaninem, czy buddystą, hindusem czy konfucjonistą. A nawet — chrześcijaninem. Azjata zrezygnował z życia."

Książka Prokescha jest wyrazem niepokoju człowieka współczesnego, żyjącego bez steru z dnia na dzień, pozwalającego się bezwolnie kołysać na fali przygód. **J. J.**

„Album arcydzieł mistrza Jana Matejki". Kraków, Salon Malarzy Polskich. Wśród różnych wydawnictw, jakie, ukazały się w stulecie urodzin genjalnego malarza polskiego, zwraca uwagę skromne i popularne wydawnictwo, opracowane jednak bardzo starannie i przynoszące 27 reprodukcyj najwybitniejszych dzieł Matejki. — Wydawnictwem tem jest **„Album arcydzieł Jana Matejki"**, wydany przez Salon Malarzy Polskich w Krakowie. — Wstęp pióra **Macieja Szukiewicza,** kustosza Muzeum Matejki w Krakowie, podaje krótki życiorys mistrza na tle jego dzieł. Tego samego pióra są też doskonałe komentarze pod reprodukcjami, wzbogacone cytatami z literatury. Album ten niewątpliwie spełni bardzo dobrze swą popularyzatorską rolę. **w. z.**

Tadeusz Vetulani: „Wzdłuż Anatolji" Wyd. Inst. Wsch. Warszawa. Turcja dzisiejsza jakże jest odmienna od swego charakteru przedwojennego. Odrodzona i skonsolidowana pod rządami Kemala Atatürka i jego wybitnych współpracowników, może się słusznie poszczycić wobec całego cywilizowanego świata, swoim ostatnich lat dorobkiem. Naród turecki wspólnym wysiłkiem wytężonych ramion, kładzie podwaliny pod wielkie i potężne państwo. Długo musiał on czekać na zrzucenie ze swoich bark, marazmu czasów ottomańskich i na zdobycie pełnej suwerenności. I dzisiaj nie można oceniać go na podstawie przestarzałych, nawet z przed kilku laty, spostrzeżeń. Znajdował się wtenczas, w okresie chaosu, pod zbrojną okupacją. Uważanym był za wyzbyty wszelkiej kultury, żyjący w dzikości i lenistwie, w brudzie i bakczysach, pozbawiony jakiejkolwiek inicjatywy. Lecz atmosfera tych sułtańskich czasów pozostała za nami. Odrodzenie społeczeństwa postępuje tak szybko, że te kilkanaście lat wydaje się okresem conajmniej wiekowym. Taka to żywotność panuje w tym narodzie.

Mówiąc o dzisiejszej Turcji, nie można zamilczeć zwartości politycznej społeczeństwa. Przyczyniła się ona, w wielkim stopniu do takiego tempa rozwoju. Nacechowane jest, jak największą wdzięcznością i zaufaniem do wszelkich poczynań swych paszów-zwycięzców. Ci zaś nie nadużywają tej stale wzrastającej ku sobie miłości. Wiedzą bowiem, że taki ścisły i serdeczny związek (gdzieindziej rzadko spotykany) jest wielce ułatwioną drogą do rozwoju i potęgi. Takiem jest właśnie, owo niedoceniane społeczeństwo tureckie.

Charakterystykę tego młodego narodu, jego prostotę serca, szczerość we wszystkich odłamach, piękno i potęgę tureckiej przyrody — opisuje Tadeusz Vetulani w swoim reportażu p. t. „Wzdłuż Anatolji", Wydawnictwo Inst. Wsch. w Warszawie. Przyznaje on, że po zapoznaniu się z tym tak sympatycznym narodem, każdy stanie się gorącym entuzjastą przepięknej Turcji i szczerym jej przyjacielem.

Dodać jeszcze wypada, że jest to naród, który może po Węgrach, jest nam najbardziej przyjazny. A dziejowe fakty turecko-polskich wojen są wspomnieniem, które z powodu bitności polskiego oręża imponuje mu. Dlatego to hasło serdecznej przyjaźni, musi być przez nas doceniane i jak najprędzej zrealizowane. **Kaz. Klesz.**

NA SCENIE

GRODNO. Teatr Miejski w Grodnie, stanowiący jednocześnie staggione dla Teatru Objazdowego Samorz. Wojew. Białostockiego, przeszedł na nadchodzący sezon pod dyrekcję znanego reżysera Władysława Czengerego i będzie nadal, poza normalnemi przedstawieniami, dawanemi 5 razy w tygodniu w Grodnie, dojeżdżał do Białegostoku i innych miast województwa białostockiego.

Dyrektorem administracyjnym i kierownikiem literackim pozostał p. Artur Horwath, a na dekoratora pozyskano art. mal. Wacława Ujejskiego.

W zespole artystycznym widnieją nazwiska pp. Nuny Młodziejowskiej-Szczurkiewiczowej, Orzeckiej, Gintelówny, Gozdeckiej, Jasnorzewskiej, Królikowskiej, Müllerowej, Malinowskiej, Skowronowskiej, Brylińskiego, Adama Bystrzyńskiego, Bogusławskiego, Utnika, Osto-Suskiego, Kozłowskiego, Iwanickiego, Wojciecha Dąbrowskiego, Kurylły i innych. Ponadto pozyskano okresowo Elżbietę Dziewońską, Łabuńską z Poznania, Irenę Górską oraz do kilku sztuk Hankę Libicką, a na okres letni Zygmunta Tokarskiego z Katowic.

Sekretarjat teatru objęła p. Witolda Nowicka.

Teatr ozpoczyna nowy sezon w dniu 10 września komedją Al. Fredry „Damy i huzary" i projektuje wystawienie szeregu najświetniejszych nowości współczesnego repertuaru tak polskiego, jak i obcego, przy najszerszem uwzględnieniu przedstawień szkolnych, żołnierskich i popularnych.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 14 sierpnia.

11.15 Transmisja ze zjazdu śpiewaczego w Starogardzie.
12.03 Poranek muzyczny.
16.30 „Gwałtu, co się dzieje" — komedja Fredry.
17.10 Recital skrzypcowy Eugenji Umińskiej.
18.00 Koncert rozrywkowy.
20.05 „Mieszczanin szlachcicem" — R. Straussa — suita.
21.00 „Ta — joj" — wesoła audycja ze Lwowa.
22.00 Opera zradjofonizowana — „Rycerskość wieśniacza" Mascagniego.

Poniedziałek, 15 sierpnia.

12.03 Poranek symfoniczny z sali Polskiej YMCA w Łodzi.
16.30 „Piosenka legjonowa na kwaterze" — słuchowisko Z. Marymowskiego.
17.00 „Czołówka na froncie" — audycja muzyczna.
18.00 Koncert z teatru na wyspie w Łazienkach.
20.05 Muzyka polska.
21.15 „Przed 18 laty" — audycja.

Wtorek, 16 sierpnia.

18.10 „Echa leśne" — audycja z cyklu „Fortepian i książka".
19.00 Recital klarnetowy — S. Czosnkowskiego.
19.30 „Wesoły coctail" — koncert rozrywkowy.
21.55 Polska muzyka kameralna.

Środa, 17 sierpnia.

16.00 „Coś miłego dla ucha" — koncert rozrywkowy.
18.10 Koncert kameralny z Krakowa.
19.00 Duety w wykonaniu W. Łozińskiej i E. Hoffmanowej.
19.30 Koncert rozrywkowy.
21.10 „Chopin, a polska ziemia" VIII audycja.
22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" — koncert.

Czwartek, 18 sierpnia.

16.00 Oktet (z harfą) Stefana Rachonia.
18.10 Koncert chóru Cecylja.
18.30 Premjera słuchowiska: „Co on z tem zrobi".
19.00 Utwory fortepianowe Haydna i Beethovena.
21.10 Mozaika muzyczna — koncert.

Piątek, 19 sierpnia.

15.15 „Wyobraźmy sobie" — wesoła audycja dla dzieci.
18.10 Recital Mieczysława Szaleskiego.
19.00 Jeanetta Mac Donald i Nelson Eddy w solo i duecie — koncert z płyt.
19.30 „Na śląską nutę" — koncert rozrywkowy.
21.10 „Zapomniane pieśni z epoki romantyzmu".
22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, 20 sierpnia.

16.00 „Tanecznym krokiem od Tokaju do Balatonu" — audycja muzyczno-słowna.
19.00 Ballady węgierskie Zoltana Kodaly'ego.
19.30 Ludowa kapela — Feliksa Dzierżanowskiego.
21.10 „Flis" — opera Moniuszki z Teatru na Wyspie w Łazienkach.
22.35 Muzyka lekka i taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.

HOCKI-KLOCKI

NIESPODZIANKA.



— Zobaczysz, moja droga, jaka to dla niego będzie przyjemność... On wprost przepada za psami... („Ric et Rac").

W URZĘDZIE STANU CYWILNEGO.



— A gdzież są świadkowie państwa?
— Ach, oni nie byli jeszcze gotowi, więc umówiliśmy się wprost w restauracji. („Ric et Rac").

ZAKOCHANY FRYZJER.



— Kocha... lubi... szanuje... („Ric et Rac").

Rozwiązania z Nru 32-go.

NAKŁADY DZIENNIKÓW.

Dziennik poranny 145.000, popołudniowy 72.000, wieczorny 38.000, sportowy 7.000.

PRZEPOWIEDNIA POGODY.

Na łące było 51 krów.

WYMIARY DYWANIKA.

100 cm × 60 cm. Jeżeli szerokość = x, a y= długość, to (x+20) (y—10)=xy; więc (x+20) (y—10) = (x+5) (y—20). Z tych równań wyznaczamy x i y

Problem szachowy.

1. Ke6—f5! d3—d2, 2. Kf5—g4, d2—d1 D+ 3. W×d1, G×d1, 4. Kg3—h2, g2—g1 D lub W patt lub S+, 5. Kh3—g2, czarne tracą gońca lub skoczka.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

BŁĄD W RÓWNANIU.

W poniższem równaniu coś niewątpliwie jest błędnego: 2967 = 17.

Równanie to jednak może być poprawne, jeśli go odpowiednio zmienimy przy pomocy zwykłych działań arytmetycznych, a bez zmiany kolejności cyfr i bez przenoszenia cyfr z jednej strony na drugą lub dodawania jakichś innych cyfr. Czy Czytelnicy potrafią zrobić odpowiednie poprawki?

Dokończenie ze str. 11-tej.

łożysty i wspaniały, że trudno nie zatrzymać się przed nim w podziwie dłuższą chwilę. Jest to bodajże najpiękniejszy okaz z tego rodzaju drzew w całej Polsce.

W niewielkiej odległości od Psar, na stromej górze wznosi się najstarszy zabytek tej ziemi, pałac w Podkamieniu. Już Zygmunt I przywilejem z 1515 r. pozwala, ażeby Fryderyk Herburt przy zamku swym „Podkamyncze" zwanym, założył miasto podobnież zwać się mające. Według Kuropatnickiego, w r. 1786 miasteczko wraz z przerobionym z zamku pałacem należało do ks. Dymitra Jabłonowskiego, starosty kowelskiego, kawalera orderów polskich i św. Huberta. Ostatecznie stary zamek wyrestaurował Leopold hr. Starzeński i urządził w nim kulturalną rezydencję, gromadząc w sędziwych murach wiele ciekawych i wartościowych rzeczy.

Podczas wojny zniszczono jednak wewnętrzne urządzenie pałacu, zwłaszcza szereg starych, cennych luster. Galerja obrazów i część sprzętów ocalała tylko dzięki poprzedniemu wywiezieniu. Natomiast jako opał posłużyło zasobne archiwum z aktami, sięgającemi roku 1500.

Pałac w Podkamieniu nie może dziś interesować wyglądem zewnętrznym. Jest to bowiem zwykły, bez żadnych prawie ozdób blok zbudowany w klamrę, dostępny tylko z jednej strony, z której prowadzi doń cienista aleja lipowa. Za to imponuje grubość murów, czasem dwa metry przekraczająca.

Szukający piękna i klasycznych linij — znajdzie je w Bursztynie nad Gnilą Lipą. Stary i bardzo okazały tamtejszy pałac, niegdyś książąt Jabłonowskich, potem Skarbków i znów Jabłonowskich, zawiera w swej galerji wiele niezwykle cennych obrazów Lampiego, Grassiego, Elżbiety Vigée Lebrun, Wouwermana — że wyliczę tylko nazwiska najgłośniejsze. Odnowiono go obecnie, dzięki staraniom Adama bar. Heydla, który znów nie szczędził kosztów i trudów, aby dom był ozdobą i chlubą okolicy, jak dawniej, przed dwudziestu kilku laty.

Ksawery Niedobitowski.

SIŁA PRZYZWYCZAJENIA.



— Ale, moja pani, ten materjał wcale nie jest w dobrym gatunku... („Wij").

PRZEZORNY.



— Ach, nie, nie! Ja nie zapomniałem kajdanków, ale on ma grypę, więc wolę być od niego zdaleka... („Ric et Rac").

DOMEK NA RATY.



— Jeżeli nie zapłacimy następnej raty, zabiorą nam nawet podłogę... („Ric et Rac").

